KU GWIAZDOM

LEONIDAS ANDREJEW

KU GWIAZDOM

Dramat

w czterech aktach

przełożyła z rosyjskiego

CAMPO

NAKŁAD KSIĘGARNI POWSZECHNEJ

Warszawa, 1907

O S O B Y:

Ternowski, Sergiusz Mikołajewicz, uczony rosyjski, mieszkający zagranicą. Dyrektor obserwatoryum. Sława naukowa; członek kilku akademij i towarzystw naukowych. 56 lat, ale wygląda na młodszego. Ruchy swobodne, spokojne i bardzo dokładne, również powściągliwy i dokładny w gestykulacyi, — żadnych zbytecznych ruchów. Grzeczny, uprzejmy, ale wieje od niego chłód.

Inna Aleksandrówna, jego żona, mniej więcej w wieku męża.

Wierchowcew, Walenty Aleksiejewicz. 30 lat. Rudy. Pewien siebie, rozkazujący, złośliwy, czasem gburowaty. Inżynier.

Anna, jego żona. 25 lat. Piękna, chuda. Ubrana nie do twarzy.

Mikołaj, 27 lat.

Marusia, jego narzeczona. 20 lat. Piękna.

Pietia, 18 lat. Blady, wytworny, wątły; czarne, kręcone włosy; biały, wykładany kołnierzyk.

Połłak. Chudy, wysoki z wielką, łysą głową. Dobrze wychowany. 32 lata. Pali cygara.

Łunc, Józef Abramowicz. Żyd. 28 lat. Przyzwyczajenie do obchodzenia się z narzędziami precyzyjnemi nadaje jego ruchom powściągliwość i dokładność, ale będąc podnieconym, nie panuje nad sobą i gestykuluje z namiętnością południowca-semity.

Żytow, Wasyl Wasyljewicz. Nieokreślonego wieku. Wysoki, z silnym zarostem, podobny do niedźwiedzia. Zawsze siedzi. W swoim rodzaju piękny.

(Połłak, Łunc, Żytow:) Asystenci Ternowskiego.

Trejcz. Robotnik. 30 lat. Brunet, chuderlawy, bardzo piękny; silnie w łuk zagięte brwi. Prosty, poważny, nie gadatliwy.

Szmidt. Nizki; drobne, ale regularne rysy twarzy; ubrany starannie; mówi cienkim głosem. Wygląda skromnie.

Staruszka.

AKT I.

Obserwatoryum w górach. Późnym wieczorem. Scena przedstawia dwa pokoje; pierwszy, mający służyć za jadalny, duży, z białemi, grubemi ścianami; za oknami, w zmroku unosi się coś białego—ogromny komin, na którym palą się szczapy drzewa. Umeblowanie proste, surowe, zupełny brak wyściełanych mebli i firanek. Kilka rycin; portrety astronomów; magowie, których gwiazda wiodła do Chrystusa. Schody na górę, do biblioteki i do gabinetu Ternowskiego. Tylny pokój — duża pracownia, wogóle podobna do pierwszego pokoju, ale niema w niej komina. Kilka stołów. Fotografie gwiazd i księżyca. Kilka prostych instrumentów. Połłak, asystent Ternowskiego siedzi zajęty pracą. W pierwszym pokoju Inna Aleksandrówna rozmawia z Żytowem. Pietia czyta. Łunc chodzi tam i nazad. Przy kominku kucharka niemka gotuje kawę. Za oknem świst i wycie górskiej zamieci. Na kominie trzeszczą polana. Dzwon uderza równo, nawołując zabłąkanych.

Inna Aleksandrówna.
Dzwoni, dzwoni, bez najmniejszego sensu. Od czterech dni nikt, a nikt nie przyszedł. Siedzę, siedzę i myślę. Czy też tam jeszcze żyją ludzie?

Pietia (przestaje czytać).
A któż ma przyjść? Któż tutaj przyjść może?

Inna Aleksandrówna.
Jakto? Z doliny może ktoś przyjść!....

Pietia.
Co innego mają teraz do roboty, jak łażenie po górach.

Żytow.
Tak. Położenie jest trudne. Dróg niema — zupełnie jak w oblężonem mieście, ani do nas, ani od nas.

Inna Aleksandrówna.
Za parę dni nie będzie co do ust włożyć.

Żytow.
To nie będzie.

Inna Aleksandrówna.
Łatwo panu tak mówić, Wasylu Wasyljewiczu, pan, tak jak niedźwiedź nasyci się swem sadłem na cały tydzień, a cóż ja pocznę z Sergiuszem Mikołajewiczem?

Żytow.
Niech mu pani zrobi zapas żywności, my i tak damy sobie radę. Łunc, Łunc, usiądź że pan choć na chwilę.

(Łunc nie odpowiada, chodzi dalej).

Inna Aleksandrówna.
Czekajcie, zdaje mi się, że ktoś stuka. Czekajcie.

(Przysłuchują się).

Inna Aleksandrówna.
Nie, zdawało mi się tylko. Co za zamieć, u was chyba nie bywa nigdy takiej.

Żytow.
Owszem, zdarza się.... na stepach.

Inna Aleksandrówna.
Na stepach nigdy nie byłam, więc nie wiem. Jakże śnieg mocno uderza w okna!

Pietia.
Naprożno czekasz, mamo,—nikt tu do nas nie przyjdzie.

Inna Aleksandrówna.
A może jednak.... (Chwila milczenia) Trzeba się wziąć do starych dzienników, czy co?... czytałam je już tyle razy, czytałam, odczytywałam. Józefie Abramowiczu, czy pan nic nowego nie słyszał?

Łunc (zatrzymując się).
A skądże ja co słyszeć mogę? Dziwne pytanie. Przecież tu nic słyszeć nie można. Niechże pani sama osądzi, skądże ja czegośkolwiek dowiedzieć się mogę? Dziwne pytanie.

Inna Aleksandrówna.
No, no, niechże się pan zaraz nie gniewa, ja tylko tak zapytałam. Serce rwie się w człowieku na myśl, co się tam u nich dzieje! Boże drogi!

Żytow.
Biją się.

Inna Aleksandrówna.
Biją się... Tak, panu łatwo tak mówić, Wasylu Wasyljewiczu, pan nie ma tam nikogo blizkiego. a ja mam przecież dzieci! I nic człowiek tu nie wie, tak jakbyśmy byli w lesie... ale gdzie tam w lesie! W lesie choć ptak przeleci, zając przebiegnie, a tu...

Łunc (chodząc).
Może tam jest zupełne zwycięstwo. Może tam już nowy świat powstał na gruzach starego.

Żytow.
Nie zdaje mi się. Nie zanosiło się na to.

Pietia.
Dlaczego się panu nie zdaje? Czytał pan, że mini-

steryum podało się do dymisyi, że w całem mieście wzniesiono barykady, że proletaryat zdobył już ratusz? A przez ostatnie pięć dni ileż nowych rzeczy zajść mogło!

Żytow.
Być może, nie wiem. Łunc, usiądźże pan raz. Słowo daję, pan przez te parę dni przeszedł chyba kilkaset wiorst.

Łunc.
Daj pan spokój! Ja panu nie przeszkadzam, więc niech i pan się do mnie nie wtrąca. Jakżeż to niekulturalnie wdzierać się tak do cudzego życia. Ja panu nie mówię: Żytow, nie drzem pan całemi godzinami, pan już wieki całe przespał. Nie mówię panu tego.

(Pietia zbliża się do Łunca i cicho z nim o czemś rozmawia. Chodzą razem, od czasu do czasu zamieniają parę słów).

Inna Aleksandrówna (szeptem do Żytowa).
Dziwne stworzenie! No, Wasylu Wasyljewiczu, napijemy się chyba kawki na pociechę.

Żytow.
Jabym się napił herbaty.

Inna Aleksandrówna.
Rzeczywiście! Ja sama napiłabym się chętnie herbaty, ale skądże jej wezmę. Gdyby tak jeszcze z malinowemi konfiturami...

Żytow.
Już ja wolałbym z kawałkiem cukru.

Inna Aleksandrówna.
Wie pan, co panu powiem, Wasylu Wasyljewiczu? Przyzwyczaiłam się tu do wszystkiego, do wszystkiego!

Do gór, do pustkowia, ale brzeziny mojej zapomnieć nie mogę. Gdy o niej pomyślę, przez dwie godziny nieraz płaczę jak waryatka i uspokoić się nie mogę. W majątku naszym dwór stał na wzgórzu, a dokoła niego rósł lasek brzozowy, jaki lasek! Po deszczu rozchodził się od niego taki zapach, że... że... (Wyciera oczy).

Żytow.
Jabym na pani miejscu wyjechał na dwa miesiące do Rosyi.

Inna Aleksandrówna.
A przy kim jego zostawię? On także mnie namawiał do tego, ale czyż to możebne? A gdyby nagle zachorował? — Nie jeden rok przeżyliśmy już ze sobą.

Żytow.
Ja się przecież zostanę.

Inna Aleksandrówna.
Nie, nie, nie mówmy już o tem. Brzeziny mojej już niema, niech tam, ja tylko tak o tem wspomniałam. Nie, nie. Tu również jest dobrze. Wiosna się zbliża.

Żytow.
A gdyby go zesłali na Syberyę, czy i wtedy towarzyszyłaby mu pani?

Inna Aleksandrówna.
Dlaczegóż nie miałabym jechać? Przecież i na Syberyi ludzie żyją.

Żytow.
Dzielna z pani kobieta.

Inna Aleksandrówna (łagodnie)
A ty, dzieciak jesteś, żebyś starym babom mówił takie rzeczy. Ale powiedz mi pan, dlaczego się pan właściwie nie żeni? Mieszkalibyście tutaj, żylibyście tak, jak ja z Sergiuszem Mikołajewiczem.

Żytow.
Nie, to nie dla mnie... nie lubię długo siedzieć na jednem miejscu.

Inna Aleksandrówna (śmiejąc się).
Tak, tak, zapewne.

Żytow.
Nie, naprawdę. Dziś tu, a jutro tam. Ja i astronomię niezadługo rzucę. O, naprzykład jeszcze nie byłem w Australii...

Inna Aleksandrówna.
A tam poco?

Żytow.
Tak sobie. Zobaczyć, jak ludzie żyją.

Inna Aleksandrówna.
A przecież pan niema pieniędzy. Łatwo podróżować tym, którzy mają na to.

Żytow.
To też jabym nie podróżował. Objąłbym posadę na kolei, lub w fabryce.

Inna Aleksandrówna.
Przerzuciłby się pan z astronomii?

Żytow.
Dlaczego nie? Tego łatwo się nauczyć. Mechanikę znam dobrze. Nie wiele mi potrzeba do szczęścia, nie jestem zepsuty.

(Chwila milczenia. Słychać coraz silniejsze wycie wiatru).

Pietia.
Mamo, gdzie ojciec? Czy jeszcze pracuje?

Inna Aleksandrówna.
Tak, prosił, aby mu nie przeszkadzać.

Pietia (wzruszając ramionami).
Jak on może teraz pracować! Pojąć tego nie mogę.

Inna Aleksandrówna.
Może. Czy byłoby lepiej, gdyby się zaczął rzucać? Połłak przecież także pracuje.

Pietia.
Ach Połłak!... O nim niema nawet co mówić. Połłak!

(Rozmawia cicho z Łuncem).

Żytow.
Połłak, to bardzo zdolny człowiek, zobaczycie, że on za jakie pięć lat zdobędzie sławę; to wyjątkowo energiczna jednostka. (Inna Aleksandrówna śmieje się). Czego się pani śmieje, czy to nieprawda?

Inna Aleksandrówna.
Nie, ja nie z tego się śmieję. Straszny z niego dziwak, — nieraz trudno się od śmiechu powstrzymać. Panie, do jakiego on instrumentu podobny, jaki macie instrument podobny do niego?

Żytow.
Nie wiem.

Inna Aleksandrówna.
Astrolabium, jeżeli się nie mylę.

Żytow.
Nie wiem. Jak pani może się śmiać? dziwię się pani co prawda.

Inna Aleksandrówna (z westchnieniem).
Bez śmiechu żyć nie można. Śmiech stanowi nieraz jedyną naszą pociechę. Posłuchajcie, opowiem wam coś. Jechaliśmy przed laty z Rosyi z dziećmi, z całym naszym dobytkiem... Pieniędzy było mało, ledwo starczyło na bilety... Nie wiem, jak się to stało, do dziś dnia pojąć nie mogę, w jaki sposób zgubiłam wszystkie bilety. Do tej pory nic mi nigdy nie zginęło, a tu, jak na złość...

Żytow.
Gdzież to było? W Rosyi?

Inna Aleksandrówna.
Gdyby to w Rosyi, niestety byliśmy już zagranicą. Siedzimy na jakiejś austryackiej stacyi... dzieci, kufry, poduszki... nagle spojrzałam na te poduszki i jak się zacznę śmiać! Boże drogi, dziś jeszcze śmiech mnie porywa, gdy sobie to przypomnę...

Żytow.
Nic a nic dotychczas nie rozumiem, za co właściwie wywieziono z Rosyi Sergiusza Mikołajewicza?

Inna Aleksandrówna.
Ależ nikt go nie wysyłał, sam dobrowolnie wyjechał. Pokłócił się z władzą. Kazano mu podpisać jakiś wstrętny papier, nie chciał i w dodatku nawymyślał

ministrowi. Wyjechaliśmy zatem, ofiarowano mu tutaj kierownictwo obserwatoryum i oto od dwunastu lat mieszkamy na tych głazach.

Żytow.
A więc on może każdej chwili powrócić!

Inna Aleksandrówna.
Poco, przecież pan wie, że w Rosyi takich obserwatoryów niema.

Żytow.
A brzezina?

Inna Aleksandrówna.
E, co tam głupstwo! Czekaj pan, zdaje mi się, że ktoś stuka!

(Wycie wichru).

Żytow.
Nie, zdawało się pani tylko.

Inna Aleksandrówna.
A jednak... Minno, zejdź, kochanie, zobaczyć, czy kto nie przyjechał. Ten dzwon zamęczy nas zupełnie. Ciągle się zdaje, że ktoś idzie, lub jedzie. Czy pan słyszy?

(Świst zamieci, głos dzwonka).

Żytow.
Marcowe burze są zawsze najgwałtowniejsze. Na dole wiosna, u nas prawdziwa zima. Tam już pewnie migdały przekwitły.

Minna.
Niema nikogo.

Inna Aleksandrówna.

Co się tam dzieje! Co się tam dziać musi! Przedewszystkiem boję się strasznie. Przecież on na nic się nie ogląda. Karabiny, to karabiny, armaty, to armaty. Boże drogi! Myśleć nawet o tem nie mogę! Gdyby jeszcze choć jaka nowina, a tu nic i nic, cztery dni już człowiek żyje, jak w grobie.

Żytow.

Uspokój się pani. Niezadługo dowie się pani o wszystkiem. Barometr podnosi się.

Inna Aleksandrówna.

W dodatku, gdyby się to o swoją bił sprawę! I ludzie obcy i kraj obcy, — co jemu do tego?

Pietia (z zapałem).

Mikołaj jest rycerzem. Walczy za uciśnionych, wszystko mu jedno, co oni za jedni. Ludzie są sobie równi i wszystko jedno, czyj jest ten kraj.

Łunc.

Obce! Kraj, państwo — nie rozumiem tego. Co to znaczy obce państwo? Podobny podział stwarza niewolników, ponieważ gdy w jednym domu rabują, w innym siedzą cicho, gdy w jednym zabijają, w innym mówią: co nas to obchodzi? Swoi. Obcy! Ja jestem żydem, nie mam ojczyzny, a zatem jestem dla wszystkich obcym? Nie, jestem dla wszystkich blizkim, tak... (Chodzi). Tak!

Pietia.

Bezwarunkowo. To ciasnota dzielić ziemię na cyrkuły.

Łunc (nie przestając chodzić)
Tak, teraz nic innego się nie słyszy: swoi, obcy! Murzyni, żydzi!

Inna Aleksandrówna.
Pan znów przekręca to, co ja mówię. Czy panu nie wstyd? Czy ja co podobnego powiedziałam? Czy ja mówię, że Kola źle robi? Przecież go sama posłałam. Jedź, dziecko, mówię, czemprędzej, tu jeszcze bardziej się męczysz. Boże, nie... Boże, co ja cierpię! Od tygodnia w takiej męczarni żyję, w takiej męczarni... Pan sypia po nocach, a ja oczu zamknąć nie mogę, słucham, nadsłuchuję... Zamieć sroży się, dzwon bije i tak ciągle: dzwon i zamieć. Płacze, jakby na pogrzebie... Nie, nie zobaczę ja już mego Koli!

(Wicher, uderzenie dzwonu).

Pietia (łagodnie).
Uspokój się, Matusiu, wszystko się jeszcze zmieni. Czyż on tam sam jeden? Dlaczego by właśnie jemu coś się stać miało? Uspokój się, matusiu.

Żytow.
Nie mówiąc już o tem, że Marusia i Anna Sergiuszówna z mężem są z nim razem. Zawsze to dla niego opieka. Przytem, wie pani doskonale, jak go wszyscy kochają, towarzyszy mu sztab cały, jak jenerałowi, oni mu napróżno zginąć nie dadzą.

Inna Aleksandrówna.
Wiem, wiem, ale cóż robić! A o Marusi nie mówcie mi lepiej. Anna, to rozsądna kobieta, ale Marusia pierwsza w ogień pójdzie. Znam ja ją dobrze.

Pietia.
Mama wolałaby zapewne, żeby się ona schowała.

Inna Aleksandrówna.
I znów to samo!... A dajcież mi święty spokój, czy ja co mówię? Nie próbujcie mnie pocieszać, wiem sama, co mam o czem myśleć, nie jestem małem dzieckiem. Za moich młodych dni walczyłam z wilkami.

Żytow.
Z wilkami? Nigdy bym się tego po pani nie był spodziewał. Jakże to było?

Inna Aleksandrówna.
Co tam, głupstwo. Kiedyś jechałam sama konno, w nocy napadły na mnie wilki. Broniłam się, strzelałam do nich, to też do dziś dnia drażni mnie sam ich widok.

Żytow.
Umie pani strzelać, doprawdy?

Inna Aleksandrówna.
Czegoż to się człowiek w takiem życiu nie nauczy? Towarzysząc Sergiuszowi Mikołajewiczowi do Turkestanu, zrobiłam, jadąc konno, po męsku, ani mniej ani więcej, tylko półtora tysiąca wiorst. Doznałam już wielu wrażeń! Dwa razy tonęłam w rzece, dwa razy ratowałam się z płomieni... (Cicho). A jednak powiem panu, niema nic straszniejszego na świecie, jak choroba dzieci. Raz, również podczas wyprawy do Turkestanu, Kola dostał zapalenia gardła. Z początku myśleliśmy, że to dyfteryt. Co było robić? Niema ani doktora, ani lekarstwa, do najbliższej osady pięćdziesiąt wiorst, a może i więcej... Wyskoczyłam z namiotu, rzuciłam się na ziemię i jak nie zacznę szlochać!... Dziś jeszcze na samo wspomnienie

łzy do gardła się cisną. Przecież ja już dwoje dzieci straciłam, czy pan o tem wie? Starszy miał już siódmy roczek, drugi był jeszcze przy piersi. Aniuta także już była blizką śmierci, ale co tu o tem mówić... Wasylu Wasyljewiczu! Ciężkim jest los matki!... Chwała Bogu, że chociaż dzieci na porządnych ludzi wyrosły.

Żytow.
Tak, Mikołaj Sergiuszowicz dzielny człowiek.

Inna Aleksandrówna.
Kola! Odkąd żyję, podobnego człowieka nie spotkałam. Przed chwilą powiedziałam: obca sprawa, odrazu było widać, żem egoistka... a Kola?... Gdyby zobaczył lwa, rozkopującego mrowisko, rzuciłby się na niego, z gołemi rękami. On się przed niczem nie cofnie! Boże, ale co się tam dzieje, co się tam dziać musi!...

Żytow.
Gdybym nie miał tak gwałtownej ochoty jechać do Australii...

Połłak (wchodzi)
Czy nie mógłbym dostać od szanownej pani filiżaneczki czarnej kawy?

Inna Aleksandrówna.
Dlaczego nie? W tej chwili. Minno! (Odchodzi).

Żytow.
No, cóż u was słychać, kolego?

Połłak.
Wszystko jak najlepiej. A wy, niczem się nie zajmiecie?

Żytow.
Na taki czas... Czy się to komu chce pracować?... A przytem te straszne wypadki...

Połłak.
A może też zwykłe, rosyjskie lenistwo?

Żytow.
Może i lenistwo. Kto to może wiedzieć?

Połłak.
To niedobrze, kochany kolego. Łunc, czyście zrobili wyliczenia, o które was prosił Sergiusz Mikołajewicz?

Łunc (ostro).
Nie.

Połłak.
To szkoda.

Łunc.
Szkoda, czy nie, to nie wasza rzecz, kolego. Jesteście tak, jak i ja asystentem i nie macie najmniejszego prawa robienia mi uwag. Rozumiecie?

Połłak (odwraca się, wzruszając ramionami).
Żytow, powiedźcie, proszę, aby mi tu kawę podano.

Żytow.
Ślicznie. A nad czem teraz pracuje Sergiusz Mikołajewicz? Nic nie wiem, co się tam u was dzieje.

Połłak.
O, on naprawdę niezmordowanie pracuje. Ja sam dużo pracuję, ale wydziwić się nie mogę wytrwałości Sergjusza Mikołajewicza, potędze jego mózgu. To za-

dziwiający mózg. Tarcia, tego obrzydliwego tarcia brak mu zupełnie, jak i w naszych narzędziach. Przytem pracuje z dokładnością mechanizmu zegarowego. Pewien jestem, że w jego obrachunkach z lat trzydziestu nikt nie znajdzie najmniejszej omyłki.

Łunc.
To nietylko pracownik, to talent.

Połłak.
Zupełna prawda. Jego liczby i cyfry są żywe i poruszają się, jak żołnierze.

Łunc.
Pan wszystko sprowadza do dyscypliny. Cóż za junkierska poezya!

Połłak.
Bez dyscypliny niema zwycięstwa, mój drogi.

Żytow.
Prawda i to.

Łunc.
Ja mam lepsze o nim wyobrażenie. Pewien jestem, że on widzi wieczność, tak jak my widzimy te oto cztery ściany.

Połłak.
Być może, nie przeczę. Czy nie mieliście żadnych wiadomości: skończyła się już rewolucya, czy nie?

Żytow.
Skądże możemy mieć wiadomości? Czy słyszycie co się dzieje na dworze?

Połłak.
Nie zwróciłem na to uwagi.

Pietia.
Ostatnie dzienniki...

Połłak.
Nie, nie. Powiecie mi jak się skończy. Nie chcę wdawać się w żadne szczegóły.

Inna Aleksandrówna (wchodząc).
Niema nikogo. Zeszłam sama zobaczyć — pustynia.

Połłak.
Czy mogę szanowną panią prosić, aby mi tu podano kawę.

Inna Aleksandrówna.
Dobrze, dobrze, niech pan pracuje. Teraz praca to rzeczywiście najwyższe szczęście.
(Połłak wychodzi).

Pietia.
A mnie się zdaje, że są chwile, kiedy pracować jest prostą nieuczciwością.

Inna Aleksandrówna.
Pietia, Pietia!

Pietia.
Ja już nie mogę wytrzymać. Dlaczego wy mnie tam nie puszczacie? Ja w tej dziurze pomieszania zmysłów dostanę.

Inna Aleksandrówna.
Pietia, dziecko drogie, przecież ty osiemnastu lat jeszcze nie masz.

Pietia.
Mikołaj miał dziewiętnaście lat, jak go do więzienia wsadzili.

Inna Aleksandrówna.
Więc cóż z tego?

Pietia.
Pracował.

Inna Aleksandrówna.
Boże miłosierny!... Zresztą dobrze, pomów z ojcem, będzie tak, jak on postanowi.

Pietia.
Ojciec powiedział jedno słowo: idź.

Żytow.
A więc o co ci właściwie idzie?

Pietia.
Nie wiem, wytrzymać tu nie mogę. Tam potężna walka, a ja, ja... Nie, ja nie mogę, nie mogę...
(Wychodzi).

Łunc.
Pietia znów się denerwuje. Powinna się pani nim zająć.
(Idzie za Pietią).

Inna Aleksandrówna.
Cóż ja zrobię? Boże mój, Boże!

Żytow.
Niech się pani nie martwi, wszystko będzie dobrze.

Inna Aleksandrówna.
Delikatny taki, jak dziewczynka! i gdzieżby on... Ale co się z nim stało w przeciągu tych paru dni! W do-

datku jeszcze ten Łunc... Trzeba by go uspokoić, a ten...

Żytow.
Łunc również tylko patrzeć dostanie ataku histeryi.

Inna Aleksandrówna.
Z pewnością. Dzięki Bogu, że pan chociaż spokojny, inaczej poszalelibyśmy chyba wszyscy.

Żytow.
No, co tam ja? Ja zawsze jestem spokojny, taka już moja natura. Czasem chciałbym nawet się czemś przejąć, ale cóż, kiedy mi się nie udaje.

Inna Aleksandrówna.
Szczęśliwe usposobienie.

Żytow.
Nie wiem, czy szczęśliwe, w każdym razie wygodne. Szkoda tylko, że niema dzienników, lubię czytać, jak ludzie tam burzą się.

Inna Aleksandrówna.
Czy pan wie, że rodzice Łunca przed czterema laty, kiedy on był jeszcze studentem zagranicą, zostali zabici podczas pogromu żydowskiego?

Żytow.
Wiem, słyszałem.

Inna Aleksandrówna.
On sam nigdy o tem nie mówi, nie jest w stanie. Biedny chłopiec... nieraz gdy na niego spojrzę, łzy mi w oczach stają. Czy znów ktoś stuka?

Żytow.
Nie.

Inna Aleksandrówna.
Trzy lata temu zabłąkał się tu do nas w taką samą zamieć commis-voyageur. Ledwie dyszał, a gdy tylko przyszedł do siebie, w tej chwili zaczął handlować.

Żytow
I ja pójdę jako commis-voyageur do Australii.

Inna Aleksandrówna.
A przecież pan nie mówi po angielsku?

Żytow.
Rozumiem trochę. Nauczyłem się w Kalifornii.

Inna Aleksandrówna.
Wezmę się chyba do gazet. Nie jestem w stanie myśleć o czem innem. I pan by co poczytał.

Żytow.
Nie chce mi się czytać. Posiedzę trochę przy kominku.

(Inna Aleksandrówna nakłada okulary i bierze ze stołu dzienniki. Żytow zasiada przy kominku. Połłak pracuje. Zamieć. Głos dzwonu).

Inna Aleksandrówna.
Co się dzieje z Sergiuszem Mikołajewiczem? Nie widziałam go od dwóch dni, pije i je tam u siebie, wchodzić do siebie zabronił.

Żytow.
Hm. Tak...

(Chwila milczenia).

Inna Aleksandrówna (czyta).
Coś strasznego! Panie, co to są kartaczownice?

Żytow
Rodzaj armat.

(Chwila milczenia. Minna przynosi Połłakowi kawę).

Inna Aleksandrówna.
Ja sama wzięłabym kartaczownice i ich...

Żytow.
Hm.. Tak, to rzecz poważna.

(Chwila milczenia).

Inna Aleksandrówna.
Tak strasznie wicher wieje, czytać zupełnie nie mogę. Przykro mi będzie, jak pan do Australii wyjedzie. Nie jedź pan, poco?

Żytow.
Muszę jechać, nie mogę długo siedzieć na jednem i tem samem miejscu; chciałbym całą ziemię dokoła obejrzeć. Z Australii pojadę do Indyj, nie widziałem jeszcze tygrysów na wolności.

Inna Aleksandrówna.
A na cóż to panu?

Żytow.
Widzi pani, ja wogóle lubię patrzeć. U nas, na wsi było wzgórze; tam, jako mały jeszcze chłopak, całemi dniami siadywałem, patrzyłem się. Astronomią również zająłem się tylko po to, aby patrzeć, wyliczeń nie lubię. Czy to nie wszystko jedno, czy jest dwadzieścia, czy trzydzieści milionów mil. Rozmawiać też nie lubię.

Inna Aleksandrówna.
Dobrze, dobrze, już nic mówić nie będę. Siedź pan sobie spokojnie.

(Chwila milczenia. Zawierucha, odgłos dzwonu).

Żytow (nie odwracając się).
Czy pani i do Kanady będzie towarzyszyła Sergiuszowi Mikołajewiczowi? Na zaćmienie?

Inna Aleksandrówna.
Do Kanady? Naturalnie, jakżebym go samego puścić mogła?

Żytow.
Trudno będzie. Daleko.

Inna Aleksandrówna.
Głupstwo. Byle tutaj wszystko dobrze poszło. Boże, Boże, aż strach pomyśleć!

(Milczenie. Zawierucha, głos dzwonu).

Inna Aleksandrówna.
Wasylu Wasyljewiczu!

Żytow.
Co takiego?

Inna Aleksandrówna.
Słyszy pan?

Żytow.
Nie.

Inna Aleksandrówna.
Widocznie znów coś mi się zdawało.

(Chwila milczenia).

Inna Aleksandrówna.
Wasylu Wasyljewiczu, czy pan nie słyszy?

Żytow.
Co?

Inna Aleksandrówna.
Wystrzał.

Żytow.
Skąd wystrzał? Hallucynacya słuchu.

Inna Aleksandrówna.
Zupełnie wyraźnie słyszałam.

(Chwila milczenia. Daleki strzał).

Żytow.
Aha! Strzelają.

Inna Aleksandrówna (wybiega).
Minno, Minno! Franciszku!

(Żytow wstaje wolno. Słychać drugi wystrzał, tym razem bliżej. Pietia i Łunc szybko przechodzą).

Pietia.
Co się stało?

Łunc.
Nie wiem. Chodźmy prędzej.

(Żytow nadsłuchuje, stojąc pod oknem. Połłak odwraca głowę, patrzy na opustoszały pokój i znów pracuje. Ktoś trzasnął drzwiami. Szczekanie psa).

Inna Aleksandrówna.
Posłałam ludzi z Wulkanem. Ktoś widocznie zabłądził.

Żytow.
A dzwon?

Inna Aleksandrówna.
Wiatr wieje w naszą stronę. Czy pan słyszał, jak wyraźnie było słychać wystrzały?

Połłak (wchodzi).
Czy mogę być tu na co potrzebnym?

Inna Aleksandrówna.
Chwilowo nie. Trzeba przyszykować coś gorącego.

(Znowu zatrzaskują się drzwi. Słychać rozmowy. Wchodzą ludzie, otuleni, zasypani śniegiem. Na przedzie idą Anna z Trejczem, wnoszą Wierchowcewa).

Inna Aleksandrówna (stojąc na progu)
Co to jest? Anno!

Anna (zdejmuje chustkę).
Mamo, daj nam czemprędzej coś gorącego. Ledwie żyjemy. Boję się, czy Walenty nie odmroził sobie czego. Prędzej, prędzej! (Pada nawpół zemdlona na krzesło).

Inna Aleksandrówna (podchodzi spiesznie do zięcia).
Walenty! Co to się stało?

Trejcz.
Raniony.

Wierchowcew (słabym głosem).
Nie martw się, matko, nic ważnego... nogi...

Inna Aleksandrówna.
A to kto?

Trejcz.
Przyjaciel.

Inna Aleksandrówna (oglądając się dokoła z przestrachem).
A Kola?

(Chwila milczenia. Pietia rzuca się z przestrachem ku matce).

Pietia.
Mamo, mamo! Nie bój się, nic się nie stało.

Inna Aleksandrówna (odsuwając go łagodnie, z większym już spokojem).
Gdzie jest Kola?

Anna (odzyskuje przytomność, zaczyna się krzątać koło rannego)
Ach, mamo, nic strasznego, dostał się do więzienia.

Łunc.
Jakto? Czekajcie, nic nie rozumiem. Co takiego?

Inna Aleksandrówna.
Do więzienia? Do jakiego więzienia?

Anna.
Boże drogi, jak można tego nie rozumieć? Uciekliśmy i basta... chcemy się tutaj u was ukryć.

Połłak.
Czy rewolucya skończona?

Łunc.
Ale ja nic nie rozumiem. Czyżby?...

Trejcz.
Tak. Rozbici jesteśmy.
(Chwila milczenia).

Anna.
Mamo, no, niechże mama przygotuje coś gorącego. Wody, koniaku... Czy niema waty?

Inna Aleksandrówna.
Zaraz, w tej chwili. Minno! (Idąc) W więzieniu!...

Żytow.
Trzeba by poprosić Sergiusza Mikołajewicza.

Inna Aleksandrówna.
Poślę zaraz po niego.

Połłak.
Powiedzcież nareszcie, jak to wszystko się stało... panie...

Trejcz.
Trejcz.

Walenty (słabym głosem).
Gdyby nie Trejcz, zdechłbym z pewnością; Anno, nie kręć się tak, ja się czuję... świetnie.

Anna.
Nie pojmuję, jakim cudem doszliśmy. Coś strasznego. Od ośmiu godzin błądzimy po tych górach. Cały dzień. A na granicy o mało nas nie złapali.

Łunc.
Trudno doprawdy uwierzyć.

Pietia.
Walu, co ci jest, czy ci słabo?

Wierchowcew.
Nogi mam pokaleczone odłamkiem bomby, głowa też... trochę... Głupstwo.

Łunc.
Rzucano w was bomby?

Wierchowcew.
Burżuj .. bronił się... nieźle.

Anna.
Walenty, niewolno ci mówić. To było ccś strasznego. Bomby rozrywały na kawałki, zabitych tysiące, dziesiątki tysięcy. Koło ratusza widziałam stosy trupów.

Inna Aleksandrówna (zbliżając się).
A Kola? Opowiedzcie mi co o Koli?

Anna.
Właściwie, nie wiadomo, gdzie on jest.

Inna Aleksandrówna.
Co? Coś powiedziała?

Pietia.
I Marusi niema. Wy coś przed nami ukrywacie. Łunc, czy nie mówiłeś pan, że...

Łunc.
Pietia, Pietia, czyż ja na chwilę przypuścić mogłem! Uwierzyć mi trudno...

Trejcz (do Ternowskiej).
Niech się pani uspokoi. Pewien jestem, że Mikołaj żyje.

Anna.
Najlepiej niech Trejcz opowie. Był razem z Kolą na barykadach.

Trejcz.
W ostatniej chwili, kiedy barykady były już prawie zdobyte przez wojsko, Mikołaj został zranionym. Stał obok mnie i widziałem, jak upadł.

Inna Aleksandrówna.
Boże! Czy niebezpiecznie? Może zabity? Mówże pan!

Trejcz.
Wątpię, żeby niebezpiecznie.

Franciszek.
Pan profesor kazał powiedzieć, że za chwilę przyjdzie.

Anna.
Rozumie się. Poco się ma spieszyć?

Inna Aleksandrówna.
No, no. Ale proszę was, mów pan dalej.

Trejcz.
Zdaje mi się, że rana jest od kuli, albo od kartacza. Z początku nie stracił przytomności, później, widziałem, że zemdlał. Zaniosłem go w boczną uliczkę, ale tam spotkałem oddział dragonów. Długo walczyć nie mogłem, tembardziej, że go narażałem na rozstrzelanie; zostawiłem go więc, a sam wróciłem do swoich. Teraz jest pewno w więzieniu.

Inna Aleksandrówna (z płaczem).
Kola! Koluszka! A my tutaj spokojnie siedzimy i nic o niczem nie wiemy. Przeczuwało to moje serce, przeczuwało. Powiedzcie, czy niema niebezpieczeństwa, co?

Trejcz.
Wątpię.

Pietia.
A Marusia? Czemu nic o niej nie mówicie? Czy zabita?

Anna.
Ależ nie. Walu, czy chcesz wody z koniakiem?

Trejcz.
Nie, przez jedną chwilkę widzieliśmy ją. Została, aby odszukać towarzysza Mikołaja.

Inna Aleksandrówna.
Ach, Maruśka! Zuch dziewczyna. Tak być powinno tak być powinno. Widzicie, co to za dziewczyna Panie Trejcz, może pan chce koniaku? Blady pan jest. Napij się pan. Pocałowałabym pana serdecznie, ale wiem, że tego nie lubicie.

Trejcz.
Owszem, uważałbym to sobie za zaszczyt. (Całują się).

Inna Aleksandrówna.
Ach, Maruśka, Maruśka! I ten także... Minno!
(Wychodzi).

Łunc (oszalały prawie z rozpaczy).
A więc napróżno?

Połłak.
Widocznie.

Łunc.
Więc cała ta krew napróżno, napróżno te tysiące ofiar, napróżno cała ta nierówna walka, ta, ta... Przeklęci! Czemu ja tu zostałem? Czemu nie padłem tam wraz z moimi braćmi?

Wierchowcew.
Jakto?... Chcielibyście, aby... burżuje... wyrzekli się odrazu panowania nad światem?... Oni... nie głupi. Zdążycie jeszcze i wy paść ofiarą.

Trejcz.
Walka nie skończona.

Połłak.
Czy pan jest robotnikiem, panie Trejcz?

Trejcz.
Robotnikiem. Właściwie, nie powiedziałem pani Ternowskiej, nie chcąc jej straszyć napróżno, ale być może, że Mikołaj jest rozstrzelany.

Pietia.
Rozstrzelany?

Trejcz.
Już w drodze tutaj słyszałem, że rozstrzeliwają wszystkich jeńców bez sądu... ranionych też.

Pietia (zadrżał i zakrył twarz rękami).
Jakież to straszne!

Łunc.
Zwierzęta! Oni zawsze się karmili krwią ludzką. Napili się jej do syta.

Wierchowcew.
Tak... ci nie byli nigdy wegetarya... nami.

Łunc.
Jak pan może żartować?

Anna.
Walu, przecież nie wolno ci mówić.

Wierchowcew.
To poranione nogi wprowadzają mnie... w taki nastrój. Zamilknę już, Anno, zmęczyłem się. Chciałbym tylko spojrzeć jeszcze... na oblicze astronoma.

Trejcz.
Cicho. (Wchodzi Inna Aleksandrówna). Walczą, trudno, my nie możemy dawać im przepisów co do sposobów walki.

Żytow.
Oto idzie Sergiusz Mikołajewicz.

(Na schodach ukazuje się Sergiusz Mikołajewicz Ternowski i idąc, rzuca pytanie).

Ternowski.
Co się stało? Gdzie Mikołaj?

Inna Aleksandrówna.
Nie bój się, ojcze. Raniony... w więzieniu.

Ternowski (zatrzymując się na górze).
Jakto? Czyż tam jeszcze zabijają? Czy tam jeszcze są więzienia?

Wierchowcew (ze złością)
Spadł z nieba!...

AKT II.

Ranek wiosenny w górach, niebo czyste bez chmurki, wszystko kąpie się w słońcu. Z prawej strony, w głębi, widać węgieł gmachu obserwatoryum ze strzelającą w górę wieżycą; pośrodku — podwórze; idzie przez nie asfaltowy chodnik, jak w klasztorze; podwórze nierówne, obniża się ku tylnej części sceny, w stronę kamiennego ogrodzenia i bramy wjazdowej. Za nią łańcuch gór, nie wyższych jednak od tej, na której stoi obserwatoryum. Z lewej strony, bliżej przodu sceny węgieł domu z murowaną werandą nad urwiskiem. Zupełny brak roślinności. Od pierwszego aktu upłynęło trzy tygodnie. Wierchowcew w fotelu na kółkach. Anna wozi go tam i nazad. Żytow siedzi pod ścianą, grzeje się na słońcu. Wszyscy w wiosennych ubraniach. Żytow w tużurku.

Żytow (siedząc).
Niech pani pozwoli, ja go trochę powożę.

Anna.
Nie, siedź pan spokojnie, nie lubię nikogo trudzić. Walu, czy ci dobrze?

Wierchowcew.
Dobrze, tylko po kiego djabła kręcimy się tutaj, jak myszy w pułapce. Postaw fotel obok Żytowa, ja chcę również zaczerpnąć sił od słońca. Tak, dobrze. Doskonale.

Anna (do Żytowa).
Dlaczego pan nie pracuje?

Żytow.
W taką pogodę? Z chwilą, gdy zajaśnieje wiosenne słońce, wytrzymać w pokojach nie mogę. Rozgrzeję się, rozgrzeję i...

Wierchowcew.
Żytow, czyś pan turek?

Żytow.
Nie.

Wierchowcew.
Byłoby panu z tem do twarzy. Usiąść spokojnie wpatrywać się w swój pępek...

Żytow.
Nie, nie jestem turkiem.

Wierchowcew.
Rozumiem pana doskonale: przyjemnie siedzieć na słońcu. Biedny Mikołaj, on już tej przyjemności mieć nie może: znam ja to Szternberskie więzienie; nietylko, że tam słońce nie zajrzy, nieba kawałka nie widać. Siedziałem tam miesiąc... Obrzydliwość!

Anna.
Chwała Bogu, że chociaż żyje. Pewna byłam, że go rozstrzelano.

Wierchowcew.
Poczekaj, na tem jeszcze nie koniec. Trzeba by obudzić Maruśkę, żeby nam wszystko opowiedziała.

Żytow.
Późno przyjechała.

Wierchowcew.
Wiem o tem. Wszystkich przecież śpiewem zbudziła. Zdziwiłem się nawet, kto może śpiewać w tym grobowcu. Myślałem, że to Połłak odkrył nową gwiazdę.

Żytow.
Z chwilą jak śpiewa, to wszystko dobrze.

Anna.
Nie rozumiem, jak można śpiewać, kiedy wszyscy śpią.

Inna Aleksandrówna (ukazuje się na werandzie).
Czy Łunc tu nie był?

Anna.
Nie.

Inna Aleksandrówna.
Boże! Co to się dzieje! Sergiusz Mikołajewicz pyta się o niego, co ja mu biedna odpowiem? Rozbiegli się wszyscy jak stado owiec, jeden tylko Połłak pracuje. A Maruśka zaśpiewała!... Serce mi w piersi zamarło, gdy ją usłyszałam. No, myślę sobie...

Wierchowcew.
Rozbudźcie ją, matko.

Inna Aleksandrówna.
Za nic w świecie. Choćby do wieczora spała.

Wierchowcew.
No to chociaż Szmidta.

Inna Aleksandrówna.
I Szmidta nie obudzę. Człowiek zmęczony, taką dobrą wiadomość przywiózł, a ja mu nie dam się

wyspać?... Przyślijcie mi Łunca, jak tylko przyjdzie. (Idzie i zatrzymuje się przy drzwiach). Cóż, Wasylu Wasyljewiczu, grzeje słonko, prawda?... Zupełnie, jak u nas. Nasypałam dziś rano ziemi do skrzynki i zasiałam rzodkiewkę. Niechaj rośnie! Może się komu przyda. (Odchodzi).

Wierchowcew.
Energiczna staruszka. Rzodkiewka. Hm.

Anna (do Żytowa).
Czy pan o czem myśli, siedząc tak ciągle bezczynnie?

Żytow.
Nie. Po co mam myśleć? Ja tak sobie patrzę.

Wierchowcew.
Nieprawda. Jakże można nie myśleć. Wreszcie, jeśli pan nie myśli, to coś przypominasz pan sobie.

Żytow.
Nie mam żadnych wspomnień. Chociaż... Dobrze było w New-Yorku. Mieszkałem na jednej z najgwarniejszych ulic, balkon wychodził na...

Wierchowcew.
No?

Żytow.
Tak, dobre to były czasy. Siedzi sobie człowiek i patrzy, jak tam oni chodzą, jeżdżą. Kolej napowietrzna. Bardzo zajmujące.

Anna.
Amerykanie mają wysoką kulturę.

Żytow.
Nie, ja nie to... Wprost tak, zajmujące. (Chwila ciszy). Prawda, gdzie Łunc?

Anna.
Jeszcze wczoraj wieczorem poszedł z Trejczem w góry.

Wierchowcew.
Na zwiady?

Żytow.
Jakto? Na zwiady?

Wierchowcew.
Trejcz zawsze coś bada. Zbadał już napewno naszą świątynię Uranii i zadecydował, że byłaby świetnym składem broni. Teraz łazi po górach, szuka może miejsca na fabrykę broni.

Anna.
Trejcz—to fantasta.

Wierchowcew.
No, nie ze wszystkiem. W jego fantazjach jest jeden dziwny rys. One pomimo swego widocznego szaleństwa, urzeczywistniają się nieraz. Wogóle, to ciekawy chłopiec. Mówi niewiele, a do propagandy nikt nie jest tak dobry, jak on. Wyrażając się waszym astronomicznym stylem, on jest w stanie księżyc rozpalić tak silnie, jak słońce. Nie mam pojęcia, skąd go wydobył Mikołaj.

Pietia (wchodzi).
Dzień dobry.

Wierchowcew.
Cóżeś, ty, koguciku, taki pochmurny?

Pietia.
Tak sobie.

Anna.
Czy wiesz, że Mikołaj w więzieniu?

Pietia.
Wiem, mówiła mi mama.

Anna.
Nie rozumiem, czegoś taki kwaśny. Jak gdybyś octu się napił, aż przykro patrzeć.

Pietia.
To nie patrz.

Żytow.
Pietia, pojedź ze mną do Australii.

Pietia.
Po co?

Anna.
Ty, tak jak małe dzieci, ciągle—po co, na co? Wczoraj namawiają go, aby poszedł w góry, a on —po co? A po co jesz?

Pietia.
Nie wiem. Daj mi spokój, Anno.

Wierchowcew.
Nie mogę powiedzieć, abyś był bardzo grzecznym. A oto idą nasi. (Widać Trejcza i Łunca obryzganych błotem).

Panie Łunc, profesor pytał już o pana. Uważaj pan, dostanie się panu teraz.

Łunc.
A niech go. . (Do Anny) Przepraszam panią.

Anna.
Może pan śmiało. Nie należę do rzędu uległych córek i przyłączam się do pańskiego życzenia.

Pietia.
Jakież to gminne.

Wierchowcew.
No cóż, panie Trejcz? Przespacerowaliście się trochę. Znaleźliście może co ciekawego?

Trejcz.
Położenie dobre.

Anna.
A czy pan wie, że Marusia w nocy przyjechała?

Trejcz (przybliżając się)
No, a Mikołaj? Mikołaj?

Wierchowcew.
Rozstrzelany. Powieszony. Wpleciony w koło.

Anna.
Ależ nie—żyje, żyje!

(Za oknem słychać muzykę i śpiew Marusi).

Marusia.
Siedzę za kratą w wilgotnej ciemnicy — zrodzon na wolności orzeł młodociany...

Trejcz.
Więc jest w więzieniu? Uratowany?

Marusia.
Smutny mój towarzysz, ruszając skrzydłami, pokrwawioną żywność dziobie pod oknami...

Wierchowcew (śpiewa)
Dziobie—i wnet rzuca, a patrząc w me okno, wzywa mnie spojrzeniem i wzywa mnie krzykiem—i chciałby zawołać: Uleć, bracie ze mną.

Marusia (wychodząc, z namiętnością)
Myśmy wolne ptaki! Czas już na nas, bracie! Polecimy, bracie, za góry, za chmury, polecimy w kraje, gdzie błękitne morza, polecimy w światy, gdzie nas wolność woła.

Trejcz.
Marusia!

Anna.
Jakiż to koncert niestosowny!

Inna Aleksandrówna (idzie za nimi, ociera oczy)
Orlęta moje!...

Wierchowcew.
Matka wymawia to, zupełnie tak, jak: kurczątka moje!...

Inna Aleksandrówna.
Bo i kurczątka: tyś naprzykład, taki oskubany kurak, zaraz bym cię do zupy włożyła.

Marusia.
Jak się masz, Anno? (Do Trejcza) Dla pana—pocałunek.

Trejcz (zakrywa twarz rękami, po chwili opuszcza rękę).
Jestem szczęśliwy!

Marusia.
Witam was wszystkich. I ciebie,. kaleko, witam.

Wierchowcew.
Czyś go widziała?

Marusia.
Ulećmy czemprędzej.

Łunc.
Ależ to sensu niema. Wszyscy czekają na wiadomości...

Marusia.
Widziałam wszystko... Tak, a ten pan... to Schmidt, przedstawiam go państwu. To dziwny człowiek. Chwilowo pracuje w banku, ale z czasem odda on rewolucyi niejedną usługę. Wygląda na szpiega, a tyle dobrego od niego doznałam... Ukłoń się pan, panie Schmidt.

Szmidt.
Bardzo mi przyjemnie.

Marusia.
Pietia, chłopcze drogi, dlaczegoś taki smutny?

Wierchowcew.
Wiesz, Marusiu, to jest, grzecznie powiedziawszy, świństwo.

Marusia.
No, no, inwalidzie, nie trzeba się tak zaraz gniewać. Czyż dzisiaj można się gniewać? Siedzi w Szternberskiem więzieniu.

Głosy.
Wiemy, wiemy.

Marusia.
Chcieli go rozstrzelać.

Inna Aleksandrówna.
Boże! Kolę?

Marusia.
Uspokój się matusiu, nic mu nie będzie. Ja jestem hrabiną Moryc. Pochodzę ze strasznie arystokratycznej rodziny, majątki moje rodowe są oto tam. (Robi ręką ruch w powietrzu). Oni są źli, ale okropnie głupi.

Wierchowcew.
Tak, tacy oni są.

Marusia.
Najtrudniej było się dowiedzieć, gdzie on jest. Ukrywają imiona więźniów, aby módz pocichutku — bez sądu dać sobie z nimi radę. W tem dopomógł mi Szmidt. Szmidt, ukłoń się pan!

(Wchodzi Ternowski w wytartem palcie i małej futrzanej czapeczce; witają się z nim z szacunkiem, ale chłodno).

Inna Aleksandrówna.
Posłuchaj, ojcze, co mówi Marusia. Rozstrzelać go chcieli!

Marusia.
Tak. Długo by trzeba opowiadać. Jednem słowem, groziłam, błagałam, powoływałam się na opinię całej Europy, na powagę naukową jego ojca, i — odłożono sprawę. Byłam u niego w więzieniu...

Wierchowcew.
No, i jakże on się miewa?

Marusia (blednąc).
On... smutny trochę, ale to przejdzie.

Inna Aleksandrówna.
A rana?

Marusia.
Głupstwo. Zaczyna się już goić; przecież on taki silny. Ale ta jego cela: to piwnica, loch, błoto; niewiadomo, jak to nazwać.

Wierchowcew.
Wiem, siedziałem i ja.

Marusia.
Narobiłam tyle hałasu, że obiecano mi przenieść go do lepszej celi. (Do Ternowskiego) Kazał panu serdecznie uścisnąć rękę, życzyć powodzenia w pracy, wogóle interesuje się żywo wszystkiem, co pana dotyczy...

Anna.
W takich warunkach — myśleć o głupstwach.

Ternowski.
Kochany chłopiec. Bardzo mu jestem wdzięczny.

Anna.
Co za wspaniałomyślność!

Łunc.
Ale jakże pani tak sama... Że też pani nie schwytano!

Marusia.
Schwytali mnie wtedy żołnierze. Ale jak zaczęłam płakać, i jak waryatka wyrywać się do chorej babki, wyczekującej mego powrotu z magazynu. musieli mnie puścić. Jeden z nich co prawda, uderzył mnie lekko kolbą.

Łunc.
Co za ohyda!

Marusia.
Miałam ukryty pod spódnicą sztandar. Nasz sztandar.

Wierchowcew.
Czy cały?

Marusia.
Pospinałam go szpilkami, ale jaki on ciężki! Przywiozłam go tutaj. W drodze służył Szmidtowi za kaftan. Wogóle, gdyby Szmidt nie był taki nizki...

Wierchowcew.
To byłby wysoki. Czemuś sztandaru tutaj nie przyniosła? Popatrzałbym... Nasz sztandar! Ach do djabła!...

Marusia.
Nie, rozwinę go dopiero wtedy, gdy znowu staniemy do walki. Trejcz, czy pan wie, kto nas zdradził?

Trejcz.
Wiem.

Szmidt.
Zdrajców i przedawczyków winno się karać śmiercią.
(Marusia śmieje się, Trejcz uśmiecha się zlekka).

Wierchowcew.
Jaki pan jednak krwiożerczy, panie Szmidt.

Szmidt.
Można zabijać elektrycznością, bez przelewu krwi.

Inna Aleksandrówna.
A Kola?

Marusia.
Mikołaj? Słuchajcie. Tu chyba wszyscy swoi? A służba? No, dobrze... Zatem — trzeba uciekać.

Trejcz.
Pojadę z panią.

Marusia.
Nie, pan musi tu zostać. Kola tego żąda. Wie pan doskonale, jak pana szukają.

Trejcz.
Cóż mnie to może obchodzić?

Marusia.
Kiedy nie potrzeba się narażać: przygotowałam wszystko, a pan, panie Trejcz, zajmie się różnemi sprawami na granicy. Potrzeba tylko dużo, bardzo dużo pieniędzy; razem z Kolą ucieka żołnierz i nadzorca. Rozumie się samo przez się, że on tutaj przyjedzie. Ja jadę zaraz dzisiaj, nie mogę tracić ani chwili.

Wierchowcew.
Ślicznie, Maruśka.

Marusia.
Mój drogi, żebyś ty wiedział, jaka ja szczęśliwa!

Inna Aleksandrówna (patrząc na Ternowskiego)
Pieniądze?

Ternowski (patrząc na Innę Aleksandrównę)
Czy my mamy pieniądze? Inno, ty się tem przecież zajmujesz.

Inna Aleksandrówna (zmieszana)
Tylko te trzy tysiące.

Marusia.
Potrzeba pięciu tysięcy.

Anna Aleksandrówna.
A i te... (Patrzy na Ternowskiego, który skłania głowę w milczeniu. Uradowana, mówi) A więc już mamy trzy tysiące. Chwała Bogu.

Żytow (zmieszany)
Zbierze się i więcej. Ja mam przecież dwieście rubli.

Łunc.
Połłak—to człowiek bogaty, bardzo bogaty.

Anna.
Nieprzyjemnie jego o cośkolwiekbądź prosić. To taki sztywny człowiek.

Wierchowcew.
Mniejsza o to. Takich właśnie ludzi trzeba obdzierać. Pietia, zawołaj no tutaj Połłaka... powiedz, że sprawa bardzo ważna, bo inaczej nie przyjdzie.

Marusia.

A więc główna rzecz załatwiona, pieniądze już są. (Śpiewa) „Wzywa mnie spojrzeniem i wzywa mnie krzykiem i chciałby zawołać: Uleć bracie ze mną". Panie Trejcz, mam z panem do pomówienia. Jakiż pan brudny! Gdzieżeś pan chodził?

(Wychodzą).

Łunc.

Cóż to za urocza dziewczyna! To — słońce! Wicher ognistych sił. To Judyta!

Anna.

Tak, za dużo ognia. Rewolucya nie potrzebuje waszych wichrów i porywów; rewolucya, jeśli pan chcesz wiedzieć, to rzemiosło, do którego trzeba przystępować z wytrwałością, cierpliwością i spokojem. A te wichry...

Łunc.

I do rewolucyi potrzebne są zdolności.

Anna.

Nie wiem. Ludzie nadużywają wogóle wyrazu zdolność. Dobrze skacze na linie—zdolny. Patrzy całe życie na gwiazdy...

Wierchowcew.

Tak. A co słychać u szanownego astronoma? Jakże tam idą sprawy na niebie?

Ternowski.

Dobrze, a u was na ziemi?

Wierchowcew.

Nieszczególnie, jak pan widzi. Na ziemi zawsze marnie, szanowny astronomie: zawsze ktoś kogoś zdradza,

ktoś płacze, jedni drugich duszą... Ot i mnie strasznie nogi bolą. Daleko nam, daleko do harmonii sfer niebieskich.

Ternowski.
I tam nie zawsze harmonia. I tam zdarzają się katastrofy.

Wierchowcew.
To przykre... zatem i na niebo liczyć już nie można. Cóżeś się tak zamyślił, panie, panie... Szmidt?

Szmidt.
Myślę o tem, że każdy człowiek powinien być silny.

Wierchowcew.
Oho! A czy pan silny?

Szmidt.
Niestety nie. Natura pozbawiła mnie przy urodzeniu niektórych właściwości, cechujących ludzi silnych. Nie znoszę widoku krwi i...

Wierchowcew.
I pająków... Cudownie, a powiedz mi pan, czy pan kupuje ubranie gotowe, czy na obstalunek?

Połłak (podchodzi)
Czem mogę służyć? Dzień dobry państwu.

Wierchowcew.
Idzie o to, panie Połłak: potrzeba nam dwóch tysięcy rubli... nie w formie pożyczki, bo wątpię, czy panu je kiedykolwiek kto odda...

Połłak.
A dla kogo te pieniądze, jeśli wolno wiedzieć?

Wierchowcew.
Dla ułatwienia ucieczki Mikołajowi Sergiuszowiczowi.

Połłak.
Służę z przyjemnością.

Wierchowcew.
On...

Połłak.
Nie, nie, nie chcę wchodzić w szczegóły. Czy mogę prosić szanownego profesora o pozwolenie użycia pańskiego dalekowidza?

Ternowski.
Ależ proszę. Ja mam dzisiaj święto.

(Połłak, ukłoniwszy się, odchodzi).

Wierchowcew.
Oto uczony. Jaki on jest właściwie, Sergiuszu Mikołajewiczu?

Ternowski.
Bardzo zdolny.

Anna (do siebie)
Poco ta astronomia?

Wierchowcew.
Prawdopodobnie dla układania kalendarzy.

(Marusia zbliża się z Trejczem).

Marusia.
A zatem zrób pan tak, panie Trejcz... (Do Sergiusza Mikołajewicza) Napadają na pana? Anna tak nienawidzi astronomii, jak gdyby to był jej osobisty wróg.

Ternowski.
Przywykłem już do tego, Marusiu.

Anna.
Wiesz doskonale, że ja nieprzyjaciół osobistych mieć nie mogę. A astronomii nie lubię, dlatego, że zrozumieć nie jestem w stanie, jak ludzie mogą tak długo patrzeć na niebo, podczas gdy na ziemi wszystko idzie jak najgorzej.

Żytow.
Astronomia—to tryumf rozumu.

Anna.
Podług mnie rozum tryumfowałby jeszcze bardziej, gdyby było mniej głodnych na ziemi.

Marusia.
Co za góry! Co za słońce! Jak wy możecie rozmawiać, sprzeczać się, kiedy tak świeci słońce!

Łunc (do Anny Sergiuszówny)
Pani występuje zatem przeciw nauce?

Anna.
Nie przeciw nauce, a przeciw uczonym, którzy nauki używają za pretekst do usunięcia się od obowiązków społecznych.

Szmidt.
Człowiek powinien mówić: „ja chcę", wszelkie obowiązki—to niewola.

Inna Aleksandrówna.
Nie znoszę tych rozmów. Co za przyjemność ludzie znajdują w psuciu sobie krwi. Wasylu Wasyljewiczu,

podnieśże się pan nareszcie. (Odchodzi z nim do werandy). Idzie mi o to, aby pan swych pieniędzy nie dawał. Wystarczy. Połłak — bardzo wspaniałomyślny młodzieniec i w razie czego... (Śmieje się). A jednak podobny do astrolabium.

Żytow.
A co będzie z wyprawą państwa do Kanady? Skąd weźmiecie pieniędzy?

Inna Aleksandrówna.
E, dostanę jeszcze. Mam jeszcze rok czasu. Umiem zdobywać pieniądze. A do pana mam wielką prośbę: oni tu wszyscy, korzystając, że mój stary milczy, napadają na niego; nie pozwól im pan, dobrze?

Żytow.
Dobrze.

Inna Aleksandrówna.
A ja już pójdę. Muszę przyrządzić bieliznę dla Koli. A i bez tego mam dużo zajęcia.

Ternowski.
Ja bardzo lubię mądre rozmowy. W każdem przemówieniu widzę błysk światła i to jest tak piękne, jak droga mleczna. Co za szkoda, że ludzie mówią przeważnie tylko o głupstwach.

Anna.
Pięknemi słówkami ludzie uwalniają się od pracy.

Wierchowcew.
Pan, Sergiuszu Mikołajewiczu, jesteś człowiekiem spokojnym; przypuszczam, że pan się chyba nawet obra-

zić nie umie — ciekaw też jestem, czyś pan kiedykolwiek płakał? Nie mówię, rozumie się, o tym szczęśliwym wieku, kiedyś pan chodził bez spodni, ale ot, teraz?

Ternowski.
O tak, ja bardzo łatwo płaczę.

Wierchowcew.
Czy być może!

Ternowski.
Kiedy ujrzałem kometę Bellę, przepowiedzianą przez Galileusza, rozpłakałem się.

Wierchowcew.
Powód zasługujący na uznanie, choć dla mnie niezbyt zrozumiały, a dla was, panowie?

Łunc.
Owszem, przecież Galileusz mógł się mylić.

Wierchowcew.
Gdyby nawet? Czyżby trzeba było wtedy włosy rwać z głowy?

Marusia.
Przesadzasz, Walenty.

Anna.
A kiedy o mało mu syna nie rozstrzelano, on nie stracił spokoju.

Ternowski.
Niema sekundy, żeby ktoś nie umierał, a we wszechświecie niema pewno sekundy, żeby nie ginęły całe

światy. Jakżeż ja mogę płakać i rozpaczać nad śmiercią jednego człowieka?

Wierchowcew.
Tak. Panie Szmidt, to są silne słowa, nieprawdaż, w sam raz tak, jak je pan lubisz. Więc cóż, jeśli Mikołajowi nie uda się uciec, i on...

Ternowski.
Zapewne, będzie to bardzo przykre, ale...

Marusia (do Ternowskiego)
Jak pan może w ten sposób żartować, słuchać nie jestem w stanie.

Ternowski.
Ależ ja nie żartuję, Marusiu. W ogóle nigdy nie umiałem żartować, chociaż lubię bardzo słuchać żartów, np. Walentego.

Wierchowcew.
Uprzejmie dziękuję.

Żytow.
To prawda, Sergiusz Mikołajewicz nigdy nie żartuje.

Marusia (marszcząc brwi).
Tem gorzej.

Wierchowcew.
Co to znaczy zatkać sobie uszy astronomiczną watą! Dobrze, spokojnie. Niech by cały świat zawył, jak pies...

Łunc.
Kiedy młody Budda zobaczył głodną tygrysicę, oddał jej sam siebie, tak. Nie powiedział: jestem Bogiem,

jestem zajęty ważnemi sprawami, tyś tylko głodne zwierzę—oddał jej sam siebie.

Ternowski.
Widzicie ten napis: (wskazuje na fasadę obserwatoryum) Haec domus Uraniae est. Curae procul este profanae. Temnitur hic humilis tellus. Hinc ITUR AD ASTRA. To znaczy: To jest świątynia Uranii. Precz stąd znikome troski! Tu depcze się ziemię, stąd dąży się ku gwiazdom.

Wierchowcew.
Tak. Ale co szanowny astronom rozumie pod znikomemi troskami? Oto ja mam nogi poszarpane odłamkiem bomby... to podług pana też znikoma troska?

Anna.
Naturalnie.

Ternowski.
Tak. Śmierć, niesprawiedliwość, nieszczęścia, wszystkie czarne cienie ziemi — wszystko to są znikome troski.

Wierchowcew.
A zatem, gdyby się jutro zjawił nowy Napoleon, nowy despota i ścisnął w żelaznej garści świat cały, to byłaby to też znikoma troska?

Ternowski.
Podług mnie tak.

Wierchowcew (obrzuca wszystkich spojrzeniem i śmieje się ordynarnie).
Otóż to!

Anna.
Wspaniale. To są jacyś bogowie, którzy z wysokości majestatu pozwalają ludziom cierpieć, ile im się podoba, a sami...

Marusia.
Trejcz, dlaczego pan nic nie odpowiada?

Trejcz.
Słucham.

Wierchowcew.
Tak mówić mogą tylko ci, którzy są na utrzymaniu u rządu i czują się przez to samo bezpieczni.

Ternowski (rumieniąc się zlekka).
Nie tak bardzo bezpieczni, Walenty. Galileusz umarł w więzieniu. Giordano Brunno zginął na stosie. Droga ku gwiazdom zroszona jest krwią.

Wierchowcew.
Jeszcze by też... Chrześcian również prześladowano, co im nie przeszkodziło w swoim czasie przypiekać na węglach niewinnych astronomów.

Anna.
Ojciec ma nawet swoje relikwie, które trzyma za żelaznemi drzwiami.

Ternowski.
Anno, to nie ładnie.

Wierchowcew.
Cóż to znów za brednie?

Anna.
Kawałek cegły z jakiejś ruiny, — obserwatoryum zawaliło się, — i strzępy autentycznego rękopismu.

Marusia.
Anno! Jakież to niesmaczne! Kola nie pozwoliłby sobie nigdy na coś podobnego.

Anna.
Mikołaj za delikatny. To jego główna wada.

(Podchodzi Pietia i niezauważony przez nikogo, staje pod ścianą).

Wierchowcew (rozdrażniony).
Dlatego to biją nas na każdym kroku...

Marusia
Dajcie spokój!... Trejcz, cóż pan na to?

Trejcz (hamując się)
Trzeba iść naprzód. Mówiono przed chwilą o porażkach, ale gdzież one są? Ja wiem tylko o zwycięstwach. Ziemia jest jak wosk w rękach człowieka. Trzeba ją ugniatać, tłoczyć — stwarzać nowe formy. Ale trzeba iść naprzód. Jeśli natrafimy na mur, trzeba z ziemią zrównać. Jeżeli przepaść, trzeba nad nią przelecieć, jeżeli niema skrzydeł, trzeba je stworzyć!

Wierchowcew.
Dobrze pan mówi—trzeba je stworzyć.

Marusia.
Ja już czuję skrzydła.

Trejcz (hamując się).
Ale trzeba iść naprzód. Jeśli ziemia zacznie się rozstępować pod naszemi nogami, musimy ją wzmocnić

żelazem. Jeśli się zacznie rozpadać na części, trzeba ją stopić w ogniu. Jeśli niebo zechce się walić na nasze głowy, musimy wyprężyć ramiona i odrzucić je—tak! (Odrzuca).

Wierchowcew.
Tak.

(Niektórzy naśladują mimowolnie ruch Trejcza — Atlasa podtrzymującego świat).

Trejcz.
Ale trzeba iść naprzód, dopóki słońce świeci.

Łunc.
Ono zgaśnie, panie Trejcz.

Trejcz.
Wtedy trzeba zapalić nowe.

Wierchowcew.
Tak, tak. Mówcie dalej.

Trejcz.
I dopóki ono świecić będzie, zawsze i wiecznie--trzeba iść naprzód. Towarzysze, słońce to przecież też proletaryusz.

Wierchowcew.
Tak, i to jest astronomia. Ach, do djabła!

Łunc.
Naprzód, zawsze i wiecznie.

Wierchowcew.
Naprzód! Ach, do djabła!

(Wszyscy wzruszeni dzielą się na grupy).

Łunc (podniecony).
Panowie, proszę was, tego nie można tak zostawić! A zabici! Nie panowie, nie tylko ci, którzy mężnie walczyli i zginęli za wolność, ale i te, oto... ofiary. Przecież ich są miljardy, przecież one niewinne... A i one stracone!

(Milczenie).

Marusia (woła dźwięcznym głosem)
Przysięgam wam, góry, przysięgam ci, słońce, że uwolnię Mikołaja!... Czy w tych górach jest echo?

Łunc.
Nie, niema. A gdyby było, odpowiedziało by, jak w bajce: tak!

Anna (do Żytowa)
Jakież to sentymentalne. Nie pojmuję Walentego...

Żytow.
Nie, dla czego? Wie pani, odłożę wyjazd do Australii, i ja chcę zobaczyć się z Mikołajem Sergiuszowiczem.

Marusia (patrząc na niebo).
Ach! jakże bym rada polecieć!

Wierchowcew.
Tak, to jest—astronomia! No, a panu profesorowi podobają się tacy astronomowie?

Ternowski.
Owszem. Podobają mi się. Jak on się nazywa? Trejcz, zdaje mi się.

Wierchowcew.
On tak samo nazywa się Trejcz, jak ja—Bismark. Sam dyabeł nie wie, jakie jest jego właściwe nazwisko.

Łunc (przebiegając od jednych do drugich).
Jakiż ja szczęśliwy! Wiecie... moich rodziców—zabito. I siostrę. Nie chciałem, nie chciałem o tem nigdy mówić... Po co? myślałem sobie. Niechaj to zostanie głęboko na dnie mojej duszy, niechaj ja jeden znam te szczegóły. A teraz? Wy wiecie, jak ich zabito? Trejcz, czy pan mnie rozumie? Nigdy nie chciałem...

Pietia (do Żytowa)
I po co to wszystko?

Żytow.
Owszem, to przyjemnie słyszeć.

Pietia.
Po co, jeśli wszystko to ma zaginąć, i pan, i ja, i góry. Dlaczego, po co to wszystko?
(Wszyscy dzielą się na grupy. Ternowski zostaje sam).

Wierchowcew (z zachwytem mówi do Marusi).
Powiesimy chyba tego Trejcza. Gdzież go Mikołaj wykopał? No, Maruśko, ucieknie on chyba, co?

Marusia (chmurząc się).
Czego innego się boję.

Wierchowcew.
Czego?

Marusia.
E, lepiej o tem nie mówić. Głupstwo.

Wierchowcew.
Ale o co idzie? Cóżeś się tak zamyśliła?

Marusia (nie odpowiada, potem nagle wybucha śmiechem i zaczyna śpiewać)
Lećmy, lećmy.

Inna Aleksandrówna (wychylając się przez okno).
Orlątka! Obiad!

Wierchowcew.
Cip-cip-cip!...

Marusia.
Napijemy się szampana! Matusiu, macie wino?

Głosy.
Tak, tak, szampana!

Inna Aleksandrówna.
Szampana nie mam. Mogę wam dać wiśniówki.
(Śmiech, okrzyki).

Ternowski (odprowadza na bok Marusię).
A ja, pójdę, Marusiu, do siebie. Nie chcę wam przeszkadzać.

Marusia.
Ale dlaczego? Dziś tak wesoło.

Ternowski.
Tak. I ja chciałem urządzić sobie dziś święto, uczcić tem wasz przyjazd, ale—nie udało mi się.

Marusia.
Zostanie pan z nami na obiad.

Łunc (krzyczy).
Trzeba sprowadzić Połłaka. To porządny człowiek, to bardzo dobry człowiek. Idę po niego.

Głosy.
Połłaka! Połłaka!

Ternowski.
Nie, zjedzcie obiad bezemnie.

Marusia.
Co za szkoda! Innie Aleksandrównie bardzo będzie przykro.

Ternowski.
Powiedzcie jej, że jestem zajęty. Przed odjazdem zajdź do mnie, Marusiu. (Odchodzi niezauważony przez nikogo).

Marusia.
Szmidt, gdzie pan jesteś? Musi pan być dzisiaj moim kawalerem. Mamy jeszcze tyle do roboty. Powiedzcie, panowie, czy on nie wygląda na szpiega?

Anna.
Marusia robi się nieprzyzwoita.

Marusia.
Wiecie, chciałam raz u niego przenocować, a on mi mówi: nie można,—mieszkam u spokojnej niemieckiej rodziny i obiecałem nie sprowadzać do siebie kobiet i psów.

Szmidt.
I nikomu nie dawać noclegu. Stoi u mnie kanapa, obita nową jedwabną materyą i oni co wieczór patrzą, czy nikt na tej kanapie nie leżał. Straszni ludzie!

Wierchowcew.
Rzucił by ich pan, cóż do djabła!

Szmidt.
Nie można. Biorą zapłatę zgóry.

Anna.
To niech im pan nie daje.

Szmidt.
Nie mogę. Oni...

Łunc (prowadzi Połłaka i zdaleka woła).
Oto jest. Oderwałem go gwałtem. Wpił się w ten refraktor, jak pijawka.

Połłak.
Panowie, to przemoc. Ja jeszcze nie skończyłem...

Marusia.
Panie Połłak, mój drogi panie! Dziś tak wesoło. I pan taki dobry, taki miły, tak pana wszyscy lubimy.

Połłak.
Bardzo mi przyjemnie to słyszeć, ale nie rozumiem dlaczego wam tak wesoło. Przecież rewolucya nie skończyła się dla was pomyślnie.

Wierchowcew.
Obmyśliliśmy nowy plan. Chcemy...

Połłak (macha ręką).
Tak, tak. Wierzę wam, wierzę.

Marusia.
Wypijemy na cześć astronomii. Niech żyje orbita!

Połłak.
Niestety, nie pijam alkoholu: sprawia mi ból głowy i wywołuje duszność.

Wierchowcew.
Dla Połłaka najlepszym napojem jest smar do maszyn. Panie Połłak, napijesz się pan oliwy?

Marusia.
Nie. Napijemy się wiśniówki. Czystej wiśniówki.

Łunc.
Chodźmy, towarzyszu. Z was dobry, uczciwy człowiek.

Inna Aleksandrówna (wychylając się przez okno).
Chodźcie nareszcie. Czy was się dziś nie dowołam?

Marusia.
Zaraz, matusiu, zaraz, Połłak taki uparty. Jakże, panowie, czyż my tak pójdziemy? Umie pan śpiewać, panie Żytow?

Żytow.
Wtórować potrafię.

Łunc.
Marsyliankę!

Marusia.
Nie, nie. Marsyliankę, tak, jak sztandar zachować trzeba do walki.

Trejcz.
Słusznie. Są pieśni, które tylko w świątyniach śpiewać można.

Wierchowcew.
Coś weselszego. Ach, jakże grzeje słońce!

Anna.
Walu, nie odkrywaj nóg.

Marusia (zaczyna śpiewać).
Niebo błękitne, słońce jaśnieje i wzywa nas... (Wszyscy prócz Pieti podchwytują). W wesołej pracy — obce nam łzy—hej, bracia, naprzód.
Cześć wesołemu słońcu!—to robotnik ziemi!
Cześć wesołemu słońcu—to robotnik ziemi!

Wierchowcew.
Prędzej, Aniu! Wieziesz mnie, jak nieboszczyka.

Wszyscy (śpiewają, Połłak poważnie i dokładnie dyryguje).
Grzmoty i burze błękitu nieba nie przezwyciężą.
Pod grozą burzy—w bladym półzmroku palą się ognie.
Cześć potężnemu słońcu!—To jest władca ziemi!...

(Ostatnie słowa pieśni powtarzają za węgłem domu. Pietia zostaje sam jeden i patrzy ponuro za odchodzącymi).

Wszyscy (za sceną).
Cześć potężnemu słońcu! To jest władca ziemi!...

AKT III.

Duży, ciemny pokój, coś w rodzaju salonu. Mebli niewiele, wyściełanych niema wcale, dwie szafy z książkami, pianino. Tylna ściana; drzwi i dwa duże weneckie okna wychodzą na werandę. Okna i drzwi otwarte, widać ciemne, prawie czarne niebo, usiane niezwykle jasnemi, migocącemi gwiazdami. W rogu, pod ścianą, bliżej przodu sceny, stoi stół; na nim, pod ciemnym abażurem—lampa. Przy stole siedzi Inna Aleksandrówna i czyta gazety. Anna szyje. Łunc chodzi tam i z powrotem. Wierchowcew, wsparty na kuli, wyjmuje książkę z szafy. Głęboka cisza, jaka bywa tylko w górach. Milczenie trwa jeszcze czas jakiś po podniesieniu zasłony.

Wierchowcew (mruczy pod nosem).
Ach, do djabła!

Inna Aleksandrówna.
Walu, czyś czytał, że prezydent odmówił Kaszowskiemu ułaskawienia?

Wierchowcew.
Czytałem.

Inna Aleksandrówna.
Więc co będzie?

Wierchowcew.
Rozstrzelają go.

Inna Aleksandrówna.
Boże drogi, kiedyż się to skończy? Czyż mało było dotąd ofiar?

Wierchowcew (niesie pod pachą książkę i upuszcza ją).
A, żeby cię djabli... Anno, podnieś.

Anna (wstając wolno).
Zaraz.

(Łunc w milczeniu podnosi książkę, kładzie ją na stole i spaceruje dalej).

Wierchowcew (siada niezgrabnie, przerzuca książkę i mówi do Anny).
Czy ci to dłubanie jeszcze nie dokuczyło?

Anna.
Więc cóż mam robić?

Wierchowcew.
Poczytałabyś trochę.

(Anna nie odpowiada, milczenie).

Wierchowcew.
Nie, nie mogę. Cóż za djabelska cisza, jak w grobie! Jeszcze jeden taki tydzień, a rzucę się w przepaść, zacznę pić, pobiję Połłaka.

Łunc (nerwowo).
Przerażająca cisza! Sprawdził się widocznie sen Byrona: słońce już zgasło, wszystko na ziemi umarło i my ostatni zginiemy. Straszna cisza!

Wierchowcew.
Żytow, co pan tam robisz?

Żytow (z werandy).
Patrzę.

Wierchowcew (przedrzeźniając go).
Patrzę! (Chwila milczenia). Nie wytrzymam bez zajęcia!

Anna.
Cóż robić, musisz być cierpliwym.

Wierchowcew.
Bądź cierpliwą ty, jeśli ci się podoba, a ja... Do djabła! (Czyta).

Inna Aleksandrówna (siedzi zamyślona).
Sergiuszek miałby teraz dwadzieścia jeden lat... Śliczny był chłopczyk, podobny do Koli... Aniu czy ty go pamiętasz?

Anna.
Nie.

Inna Aleksandrówna.
A ja pamiętam... Ty, Aniuto, biłaś go, niedobrą byłaś dziewczynką. I jak to prędko poszło: w trzy dni. Zapalenie ślepej kiszki—u takiej kruszyny! Jak zaczęli krajać mu brzuszek, tak niech mi pan wierzy, Józefie Abramowiczu...

Wierchowcew.
A niechże was, słowo daję! Przez cały wieczór dzisiaj o nieboszczykach i o nieboszczykach. Umarł, to umarł. Chodź pan, panie Żytow, tutaj porozmawiać!

Żytow.
Zaraz.

Łunc.
Cóż za nudy!

Wierchowcew.
A co Marusia pisze, Inno Aleksandrówno?

Inna Aleksandrówna (z westchnieniem).
Pisze dużo, ale sensu dopatrzeć się nie można. Obiecuje za tydzień. Ot i we wczorajszym liście to samo...

Wierchowcew.
Wiem, wiem, myślałem, że jest coś nowego.

Inna Aleksandrówna.
Czy aby Kola nie zachorował?

Wierchowcew.
Już, zachorował. Niech matka odrazu powie: umarł.

Łunc.
Wtedy ona trupa wykradnie i przywiezie.

Inna Aleksandrówna.
Co pan? Co pan mówi, zastanów się pan!

Żytow (wchodzi).
No, o czem mówić?

Wierchowcew.
Usiądź pan. Co pan tam robi?

Żytow.
Patrzyłem na gwiazdy. Jakież one dzisiaj cudowne i niespokojne!

(Wchodzi Pietia. Wogóle przez cały czas trwania tego aktu przechodzi kilkakrotnie przez scenę).

Łunc.
A ja dziś nie mogę patrzeć na gwiazdy. Nie wiem sam, gdzie bym przed niemi uciekł, schowałbym się do piwnicy, ale i tam odczuwać je będę. Rozumiecie, tak, jak gdyby nie było oddalenia. Jak gdyby wszystkie te ogromy, żywe i martwe, zgromadziły się nad ziemią i zbliżały się ku niej i coś takiego w nich jest... Ja nie wiem.

(Chodzi, nie przestając gestykulować).

Żytow.
Powietrze jest tu bardzo czyste. Np. w Kalifornii...

Wierchowcew.
Czyś pan był w Kalifornii?

Żytow.
Byłem. Otóż w Kalifornii, w obserwatoryum Lika, to nieraz ciężko patrzeć.

Pietia.
Mamo, skąd się wzięła u nas w kuchni ta staruszka?

Inna Aleksandrówna.
Która? A ta. Przyszła, kazałam jej dać przytułek. Pochodzi z doliny. Ubożuchna — głucha, niczego się od niej nie można dowiedzieć.

Pietia.
Jak ona się tu dostała na górę? Jak ona mogła to uczynić?

Wierchowcew.
Matka powinna tu szpital założyć.

Inna Aleksandrówna.
A cóż ty myślisz? Może być, że założę, jeśli Sergiusz Mikołajewicz pozwoli. Poczytałbyś...

Pietia (nalegając).
Mamo, jak ona weszła na górę?

Inna Aleksandrówna.
Ależ nie wiem, kochanie. Poczytałbyś co Marusieńka pisze o głodnych dzieciach. Matusiu, chleba chcę, — no i poszła matka po chleb, a jak ona go tam dostała, lepiej o tem nie mówić... Przyszła, a dziewczynka była już martwa.

Anna.
Dobroczynnością nic się nie zrobi.

Inna Aleksandrówna.
Jakto, więc niech umierają?

Pietia.
A niech umierają. Co pan dziś taki smutny, panie Józefie?

Łunc.
Tak, Pietiu, mam dziś bardzo niewesołe myśli. Taka jakaś dziwna noc, sam nawet nie wiem co to za noc. To noc duchów. Czy patrzyliście dziś na gwiazdy?

Pietia.
A jam wesół. (Bębni coś niezwykłego na fortepianie).

Wierchowcew.
Daj spokój.

Pietia (gra i śpiewa).
Jakże mi wesoło!

Inna Aleksandrówna.
No, Pietiu. dajże spokój!

(Pietia zatrzaskuje z hałasem wieko od fortepianu i wychodzi na werandę. Milczenie).

Łunc.
Czy Trejcz prędko wróci?

Wierchowcew.
Nie udało się, a więc dziś, albo jutro. Panie Żytow, cóż pan tak milczy?

Żytow.
Tak sobie. Nie chce mi się jakoś mówić.

Łunc.
Jakie ciężkie mam myśli! Takie ciężkie myśli! W ten sposób można by się zabić.

Wierchowcew.
Gadanie. Wśród astronomów nie było jeszcze samobójcy.

Łunc.
Ja marnym jestem astronomem. Bardzo, bardzo marnym.

Anna.
Tem lepiej. Zajmij się pan czemś porządnem.

Łunc.
Ja boję się dziś gwiazd. Myślę, jakie one ogromne, jakie obojętne i jak ja je nic nie obchodzę i staję się takim maleńkim, takim nędznym — jak kurczątko, które podczas żydowskiego pogromu ukryło się gdziekolwiek, siedzi i nic nie rozumie.

(Wchodzi Pietia).

Wierchowcew.
Gwiazdy — i pogrom żydowski. Dziwne zestawienie.

Inna Aleksandrówna (ostrzegająco kiwa głową w stronę Wierchowcewa).

A to dlatego, że jesteście wszyscy bardzo zdenerwowani. Pomyślcie tylko: już półtora miesiąca od wyjazdu Marusi, a nic o niej nie wiemy. Ja sama, do wielu już rzeczy przyzwyczaiłam się, a teraz truchleć zaczynam.

Łunc.

Latają pierze, dzwonią szyby, a on siedzi — i co on myśli?

Wierchowcew.

Nic nie myśli. Myśli, że śnieg pada.

Łunc.

Przeraża mnie nieskończoność. Jaka nieskończoność? Dlaczego nieskończoność? Ot patrzę na gwiazdy: jedna, dziesięć, milion — i niema końca. Boże drogi! przed kim ja się poskarżę?

Wierchowcew.

A poco się skarżyć?

Łunc.

Przecież ja mały żydek... (Chodzi, gestykulując).

Połłak (wchodząc).

Dobry wieczór. Czy mogę tutaj posiedzieć? Czy ja państwu nie przeszkadzam?

Inna Aleksandrówna.

Rozumie się, że nie. Proszę pana.

Połłak.

Strzałka magnesowa kołysze się bardzo, panie Łunc. Trzeba będzie jutro obserwować słońce. (Łunc mruczy

coś pod nosem). Wam, kolego Żytow, nic już nie mówię; widocznie rzuciliście już ze wszystkiem zajęcia. Wyjeżdżacie?

Żytow.
Tak, pojutrze.

Inna Aleksandrówna.
Co takiego? A przecież pan, Wasylu Wasyljewiczu, chciał poczekać na Kolę? Cóż pan tak nagle?

Żytow.
Ależ nie. Muszę jechać. Zasiedziałem się!

Wierchowcew.
A cóż za nudy będą, gdy pan wyjedzie. Rzuć pan do djabła tę Zelandyę.

Żytow.
Nie. Muszę.

Anna.
A cóż to pan nie pracuje, panie Połłak?

Połłak.
Ja dziś marzę, szanowna pani. Skończyłem dziś trzydzieści dwa lata i to w tej nawet chwili. Urodziłem się wieczorem o godzinie dziesiątej minut trzydzieści siedem. Obliczając różnicę w czasie, wypada (patrzy na zegarek) w sam raz dziesiąta minut szesnaście.

Wierchowcew.
Winszuję panu.

Połłak.
Dziękuję. I ja dziś trochę marzę. Przez trzydzieści dwa lata zrobiłem już dosyć dużo dla nauki i moje imię... Zresztą, nie będę wchodził w szczegóły. I ja już mam prawo urządzić swe własne życie.



Wierchowcew.
Jakto, czy się pan żeni?

Połłak.
Tak, zgadł pan. Żenię się.

Inna Aleksandrówna.
I dobrze kochany pan robi. Żeby tylko żona się trafiła dobra.

Połłak.
Moja narzeczona kończy w tym roku kursy uniwersyteckie i niezadługo, szanowna Inno Aleksandrówno, miły wasz dom przestanie mnie zaliczać do swoich członków.

Inna Aleksandrówna.
O, jaka to trusia! I ani razu się pan nie wygadał?

Pietia (ostro).
I ja też się żenię. Ja mam też narzeczoną. Piękna kobieta.

Połłak.
Pan żartuje?

Inna Aleksandrówna.
Pietiu!

(Pietia śmieje się i wychodzi na werandę).

Anna.
Co się z nim dzieje? Jak on się rozpuścił!

Inna Aleksandrówna.
Nie wiem. Od chwili, kiedyście wy przyjechali, poznać go nie mogę. Józefie Abramowiczu, pan bliżej żyje z Pietią, czy pan nie wie, co z nim się stało? Niespokojna jestem.

Łunc.
Z Pietią? To dobry chłopiec, bardzo dobry chłopiec. I on ma też ciężkie myśli.

Połłak.
Rozmawiajcie dalej, państwo. Jestem dzisiaj trochę zdenerwowany i z przyjemnością posłucham waszej rozmowy.

Łunc (mruczy).
Gwiazdy, gwiazdy!

Połłak.
Co, panie, chcecie nam coś opowiedzieć o gwiazdach, mój drogi panie Łunc?

Łunc.
Ot i wtedy świeciły one gdzieś ponad chmurami, podczas gdyśmy siedzieli, czekali i myśleli, że tam zupełne zwycięstwo; teraz również świecą.. Zwarjować można...

Wierchowcew.
Pracować, pracować trzeba, a tu siedzisz, jak pies na łańcuchu w tym djabelskim grobie. Ech! (kulejąc, idzie przez pokój do okna, patrzy przez chwilę i wraca na swoje miejsce). Podobno Trejcz powrócił?

Połłak.
Bardzo mi się pan Trejcz podoba. To bardzo poważny człowiek.

Inna Aleksandrówna.
A więc znów nic?

Wierchowcew (niegrzecznie).
A matka na co czekała? Przecież już pisali, że nic.

Inna Aleksandrówna.
Boże mój, Boże! Kola mój, Kola! Nie doczekam się już ciebie, kochanie, przeczuwam to już w mem sercu. (Płacze cicho).

Trejcz (wchodzi, wita się ze wszystkimi i siada).
Dobry wieczór.

Inna Aleksandrówna.
Zmęczył się pan? Chce pan może co zjeść?

Trejcz.
Dziękuję, jadłem w drodze.

Wierchowcew,
Co nowego?

Trejcz.
Dużo aresztowań. O tem, że Żańko powieszony, wiecie już zapewne?

Głosy.
Jakto? Żańko? Nie. Kiedyż to było?

Wierchowcew.
Biedny chłopiec! No, jakżeż on?

Inna Aleksandrówna.
Taki młody!... Przecież to on był tu z Kolą w przeszłym roku? Brunecik, z wąsikami.

Anna.
Tak, to on.

Inna Aleksandrówna.
Pocałował mnie w rękę... Taki młody... Czy on ma matkę?

Anna.
Ach, mamo!... Nie wie pan, panie Trejcz, czy się nie wygadał?

Trejcz.
Przyjął śmierć mężnie, chociaż podle z nim postąpili. Prosił, aby przy wykonaniu wyroku mógł być jego obrońca—rodziny nie ma—i miał do tego zupełne prawo. Obiecano mu i oszukano go, w ostatniej chwili widział tylko twarze katów i gwiazdy. Wykonano wyrok wieczorem.

Łunc.
Gwiazdy, gwiazdy!
(Chwila milczenia).

Trejcz.
W Ternach żołnierze zabili około dwunastu robotników. Dużo kobiet i dzieci. W Sternberskim okręgu—głód. Twierdzą, że były wypadki zjadania trupów.

Wierchowcew.
Ponury z pana wysłaniec, panie Trejcz.

Trejcz.
Zaczęły się pogromy żydów.

Łunc.
Co? Znów?

Połłak.
Cóż za barbarzyństwo! Co za głupi ludzie!

Inna Aleksandrówna.
No, może to tylko pogłoski. Tyle mówią...

Wierchowcew.
No, a nasi? A nasi?

Trejcz (wzruszając ramionami)
Idę tam jutro.

Anna.
To i pana powieszą. Nic więcej. Trzeba przeczekać.

Wierchowcew.
I ja z wami! Do djabła!

Anna.
Dokąd że ty pójdziesz z takiemi nogami? Zastanów się, Walenty, przecież nie jesteś dzieckiem.

Wierchowcew.
A!...

Trejcz.
A jakże wasze nogi, Walenty?
(Wierchowcew macha ręką).

Anna.
Źle.

Inna Aleksandrówna.
A o Koli—nic?

Trejcz.
O umówionej godzinie nie było nikogo na miejscu, zrozumiałem, że sprawa odłożona. Ja sam gubię się w domysłach. Idę tam jutro.

Inna Aleksandrówna.
Niech wam Bóg dopomoże, mój drogi. Błogosławię pana, jako syna.
(Trejcz całuje ją w rękę).

Połłak (do Żytowa)
No, powiedz pan, robotnik, a jak wychowany. Zdumiony jestem.

Żytow.
Hm, tak.

Połłak.
Podoba mi się to, że opowiada jasno i krótko.

Łunc (krzyczy)
Słyszeliście?

Anna.
Co panu jest? Czemu pan tak krzyczy? Przestraszyliście...

Łunc.
Znów! Znów zabijają ojców i matki, znów rwą dzieci na kawałki. O, ja to przeczułem, zrozumiałem to dzisiaj, patrząc na te przeklęte gwiazdy.

Połłak.
Mój drogi panie Łunc, uspokój się pan.

Inna Aleksandrówna.
Pocoś pan, panie Trejcz, mówił o tem?

Trejcz.
Nic nie szkodzi.

Łunc.

Nie, nie uspokoję się. Nie chcę się uspokoić. Dość długo byłem spokojny. Byłem spokojny, kiedy zabijali matkę moją, ojca i siostrę. Byłem spokojny, kiedy tam, na barykadach, zabijali moich braci. O, ja długo byłem spokojny. Ja i teraz jestem spokojny. Czyż nim nie jestem? Trejcz!... A zatem wszystko napróżno?

Trejcz.

Nie, zwyciężymy.

Łunc.

Panie Trejcz, ja lubiłem naukę. Panie Połłak, ja lubiłem naukę. Kiedy jeszcze byłem bardzo mały, taki mały, że mnie wszyscy chłopcy na ulicy bili, ja już wtedy lubiłem naukę. Bili mnie, a ja myślałem: urosnę i będę wybitnym uczonym i będę przynosił zaszczyt mojej rodzinie — mojemu drogiemu ojcu, który mi oddawał ostatni swój grosz, mojej drogiej mamie, która nademną płakała... O, jak ja lubiłem naukę!

Połłak.

Panie Łunc, mnie pana bardzo żal. Szanuję pana.

Łunc.

Kiedy nie jadłem i nie piłem, kiedy, jak pies, włóczyłem się po ulicach, szukając kawałka chleba, — i wtedy myślałem o nauce. I wtedy, gdy zabili mego ojca i matkę i siostrę, płakałem, rwałem włosy z głowy i myślałem o nauce. Oto jak ja lubiłem naukę! A teraz (Cicho) nienawidzę nauki. (Krzyczy) Nie potrzeba nauki, precz z nauką!

Połłak.
Panie Łunc, panie Łunc, jak mi przykro...

Anna.
Panie Łunc, ujmij-że się pan w karby. Przecież tak nie można, przecież to histerya.

Łunc.
Aha, histerya! Niech będzie histerya, a ja jestem spokojny i wam niesłusznie się zdaje, że jestem niespokojny. Ja nie chcę nauki. Ja stąd odejdę. Słyszycie?

Trejcz.
Chodźcie ze mną.

Łunc.
Tak, pójdę z wami. Nie chcę nauki. Przeklęte gwiazdy. I znów, znów! Przecież ja tutaj słyszę ich krzyki! Wy nie słyszycie, a ja słyszę! I widzę—wszystkich, wszystkich, tych których palono, zabijano, rozrywano na kawałki. Bili za to, że z pośród nas narodził się Chrystus, że wśród nas byli prorocy i Marks. Widzę ich. Patrzą na mnie przez okno, zimne, poszarpane trupy, stają nad moją głową, gdy śpię i pytają mnie: i ty będziesz nauką się zajmował, Łunc? Nie. Nie.

Inna Aleksandrówna.
Biedaku mój, niech ci Bóg dopomoże.

Łunc.
Tak, Bóg. Ja jestem żydem i żydowskiego wzywam Boga. Boże zemsty, Panie Boże zemsty! Ukaż się. Powstań z martwych. Sędzio ziemi, ześlij zemstę na dumnych! Boże zemsty! Panie Boże zemsty, ukaż się!

Wierchowcew.
Śmierć katom!

(Łunc milcząc, grozi pięścią i wychodzi).

Wierchowcew.
Trejcz, co się z nim stało?

Połłak.
Nieszczęśliwy młodzieniec. Jakież to straszne, jeśli człowiek lubi naukę, a służyć jej nie może. Tak mi było wesoło, a kiedy on mówił, rozpłakałem się, szanowna Inno Aleksandrówno.

Inna Aleksandrówna.
Ech, nie mów pan lepiej. Serce mi pęka. I kiedyż temu będzie koniec? Życie przejdzie, a człowiek jaśniejszych dni nie doczeka. Życie!

Żytow.
Tak, ciężko.

(Trejcz bierze Wierchowcewa na stronę i pokazując ostrzegająco na Innę Aleksandrównę, szepcze. Przy pierwszych jego słowach Wierchowcew odwraca głowę i mówi głośno).

Wierchowcew.
Nie może być. Miko...

Trejcz.
Pst!... (Szepczą).

Połłak.
Trzeba pokładać nadzieję w Bogu, szanowna Inno Aleksandrówno, ale nie w Bogu zemsty, o którym mówił ten nieszczęśliwy młodzieniec, a w Bogu miłosierdzia i miłości.

Żytow.
Tak. Różni bywają bogowie, jaki komu dogodny.

Inna Aleksandrówna.
Ach dzieci, dzieci! Biada nam, biada!

(Wchodzi Sergiusz Mikołajewicz, wita się).

Ternowski.
I pan tu, panie Połłak?

Połłak.
Dziś dzień moich urodzin, szanowny Sergiuszu Mikołajewiczu.

Ternowski.
Winszuję panu. (Ściska mu dłoń).

Połłak.
I dzisiaj miałem zaszczyt oznajmić zebranemu gronu o moich zaręczynach z panną Fanny Estrem.

Ternowski.
A to szczęśliwy z pana człowiek!

Połłak.
Tak. Będę teraz miał satelitę, szanowny Sergiuszu Mikołajewiczu. (Śmieje się).

Ternowski.
Jeszcze raz winszuję panu. A powiedzcie, czy niema nic nowego o Mikołaju?

Trejcz.
Ucieczkę widocznie odłożono.

Wierchowcew.
A co się na ziemi dzieje, gdyby pan wiedział, szanowny panie astronomie!

Ternowski.
A co? Czy znów jakie nieszczęścia?

Wierchowcew.
Tak—znikome troski. (Przechylając głowę na bok). Ot, patrzę się na pana i myślę: czy też pan ma przyjaciół, czy też pan zawsze—sam i sam?

Ternowski (wskazując na Innę Aleksandrównę)
Oto mój przyjaciel.

Inna Aleksandrówna.
Nie zawstydzaj mnie, Sergiuszu Mikołajewiczu. Czy ci taki przyjaciel potrzebny?

Wierchowcew.
No przypuśćmy. A dalej?

Ternowski.
Są jeszcze inni. Ale wyobraźcie sobie, żem ich nigdy nie widział. Jeden mieszka w Południowej Afryce, ma obserwatoryum, drugi—w Brazylii, a trzeci—sam nie wiem gdzie.

Wierchowcew.
Zginął?

Ternowski.
Umarł półtora wieku temu. Jest jeszcze jeden, tego już zupełnie nie znam, chociaż go bardzo kocham—ten się jeszcze nie narodził. Powinien przyjść

na świat mniej więcej za siedemset pięćdziesiąt lat i powierzyłem mu już sprawdzenie niektórych moich obserwacyj.

Wierchowcew.
I pan jest mocno przekonany, że on to uczyni?

Ternowski.
Tak.

Wierchowcew.
Dziwna kolekcya przyjaciół. Powinien je pan ofiarować do jakiego muzeum. Nieprawda, Trejcz?

Trejcz.
Mnie się podobają przyjaciele pana Ternowskiego.
(Wchodzi prędko Pietia i rozgląda się dokoła).

Pietia.
A gdzie Łunc? Czy wszyscy tu są? Dobrze. A Łunc?

Inna Aleksandrówna.
Poszedł do siebie, Pietiu; idź do niego, porozmawiaj z nim, on taki dziś wzburzony.

Pietia.
Proszę państwa, zatrzymajcie się tu chwilkę. Chcę urządzić małą uroczystość. Dziś taki dzień.

Połłak.
Czy aby nie fajerwerki? O, sprytny Pietia. No, ale tego byłoby już za wiele, chociaż, coprawda, w taki dzień...

Pietia.
Zaraz wracam. (Wychodzi).

Ternowski (spacerując wolno).
Panie Połłak, czy pan nie wie, jak tam dziś barometr?

Połłak.
Spada, szanowny Sergiuszu Mikołajewiczu.

Ternowski.
Daje się to odczuć.

Połłak.
Sądząc po wahaniu się strzałki, należy przypuszczać, że w południowych szerokościach szerzy się cyklon.

Ternowski.
Tak, nie jest spokojnie.

Anna (do Inny Aleksandrówny)
Pietia wymyślił napewno jakąś nową obrzydliwość. Szkoda, że go mama zachęca.

Inna Aleksandrówna.
Więc cóż ja z nim zrobię? Sama widzisz, że z nim...

Wierchowcew (podchodzi z Trejczem do stołu).
Jakaż tu u was djabelska cisza: jak w grobie.

Ternowski.
Doprawdy? A mnie się zdaje, że tu na dole tak głośno.

Trejcz (do Wierchowcewa).
Jeszcze słówko: gdybym nie wrócił, powiedzcie jej, że..

Wierchowcew.
Rozumiem. Och, jakże duszno!

Anna.
A mnie jest trochę zimno.

Wierchowcew.
Duszno, czy chłodno—wszystko djabła warte. Jeśli ja tu jeszcze tydzień zostanę...

Połłak.
A czy nie moglibyśmy, proszę państwa, urządzić jakiej mniej więcej prawidłowej rozmowy, w której wszyscy wzięli by udział. Na przewodniczącego wybierzmy...

Łunc (wchodząc).
Czy mnie kto wołał? Czy pan mnie wołał, Sergiuszu Mikołajewiczu?

Ternowski.
Nie.

Łunc.
Cóż mi więc Pietia powiedział? (Chce odejść).

Połłak.
Mój drogi panie Łunc, posiedź pan z nami. Teraz, gdy się pan trochę uspokoił, muszę panu powiedzieć, że nie zgadzam się z panem co do nauki.

Łunc.
Ach, daj pan spokój. Sergiuszu Mikołajewiczu, muszę panu oznajmić, że rzucam obserwatoryum.

(Za drzwiami słychać głos Pieti: „Paziowie, zróbcie przejście dla księżny").

Połłak (śmiejąc się).
Ach to Pietia! Jakiż to zabawny chłopiec. Słuchajcie, słuchajcie.

(Otwierają się drzwi. Wchodzi Pietia ze staruszką. Zgięta wpół pod kątem prawie prostym i ledwo idzie— przerażający obraz nędzy, starości i nieszczęścia. Pietia, wziąwszy ją za rękę, kroczy uroczyście, jak w operze. Przy drzwiach widać uśmiechnięte fizyonomie Minny, Franciszka i kogoś tam jeszcze z pośród służby).

Pietia.
Pozwólcie mi państwo przedstawić moją narzeczoną — piękną Helenę.

Wierchowcew (śmieje się ordynarnie).
A to głupiec!

Anna.
Mówiłam.

Połłak (wstaje).
To urąganie. Nie pozwolę wyśmiewać się z mojej narzeczonej.

Pietia (głośno).
Piękna Heleno — pokłoń się zgromadzonym.

(Staruszka kłania się).

Połłak.
Przepraszam. To zniewaga.

Inna Aleksandrówna.
On żartuje. Pietiu, to nieładnie, nie trzeba żartować ze starych.

Łunc.
Nie, to nie żart. Ja rozumiem. O, ja rozumiem.

Pietia.
Tak. Teraz porozmawiamy, piękna Heleno. Ile masz lat?

(Staruszka milczy i trzęsie głową).

Pietia.
Mówisz, że siedemnaście. Masz siedemnaście lat, czarująca dziewczyno? Książę, ojciec twój i księżna, twoja matka, zgadzają się na nasz ślub?

(Staruszka milczy i trzęsie głową).

Połłak.
Szanowny Sergiuszu Mikołajewiczu. Obrażają mnie w pańskim domu...

Łunc (z wściekłością).
Poco się pan wtrąca? Co komu po panu i pana idyotycznej narzeczonej?

Połłak.
Panie Łunc, odpowie mi pan za to!

Łunc.
Gwiazdy, przeklęte gwiazdy!

Pietia.
Piękna Heleno, jaki ja szczęśliwy! Czy czujesz zapach róż? Czy słyszysz, jak w ogrodzie słowik wywodzi swe trele?—To o naszej miłości on śpiewa, piękna Heleno.

Łunc.
Przeklęte gwiazdy!

Pietia.
Twoje wonne usteczka, piękna Heleno..

Łunc.
Tak, tak...

Pietia.
Twoje ząbki, jak perełki...

Łunc.
Tak, tak...

Pietia.
Twoje delikatne policzki,—kocham cię szalenie, piękna Heleno! Dlaczego spuszczasz tak skromnie twe czarujące oczęta?...

Łunc.
Hańba! I czy panu, panie Połłak, nie wstyd? Nauka? Widzicie? To moja matka, to moja matka...

Połłak.
Nie rozumiem.

Pietia.
Wyprostuj twą smukłą kibić i z dumą głoś wszystkim, żeś moją żoną, piękna Heleno! W twoich objęciach niespokojne moje serce znajdzie wieczny pokój.
(Staruszka trzęsie głową).

Anna.
Zamknąć ich wszystkich w domu warjatów.

Wierchowcew (przestraszony).
Anno, milcz!

Połłak.
To takie...

Łunc.
Milcz, burżuju, bo inaczej... To moja matka. (Do staruszki) Stara kobieto! (Odpycha Pietię). Posłuchaj mnie, stara kobieto, oto ja, mały żydek, klęczę przed tobą. Tyś—moja matka, pozwól mi ucałować twą rękę.

Pietia (krzyczy)
To moja narzeczona!

Łunc.
Nie, to moja matka!

Anna
Dajcie wody.

Łunc.
Stara kobieto! Wybacz mi: lubiłem naukę, ja głupi żyd... żyd!

Wierchowcew (do Trejcza).
Trzeba coś zrobić.

Trejcz.
Nie trzeba.

Łunc.
Ja kocham tylko ciebie, miła, stara kobieto. Weź moją głowę, zabierz moje serce. Przeklęte gwiazdy! Przeklęte gwiazdy!

Trejcz.
Łunc, wy idziecie ze mną.

Pietia (krzyczy),
To moja narzeczona!

Inna Aleksandrówna.
Boże! Pietiu! Co jemu jest?

Anna.
Wody!

Łunc.
Idę z wami. Przysięgam na Boga.

Wierchowcew.
A milcz że pan!

(Pietia dostaje ataku. Wszyscy prócz Trejcza biegną ku niemu. Sergiusz Mikołajewicz robi krok, ale zatrzymuje się i patrzy na Łunca).

Łunc (padając na kolana).
Stara kobieto! Widzisz, ja płaczę, ja, mały żydek, który lubił naukę. Ty jesteś moją matką, tyś moją matką i przysięgam na Boga, oddam ci całe moje życie, miła, stara kobieto. Ja płaczę... Przeklęte gwiazdy!

AKT IV.

W prawym kącie sceny kopuła obserwatoryum w przecięciu, trzecią częścią schowana za kulisy. Dokoła kopuły galeryjka z żelazną, ażurową kratą. Dół sceny—część jakiegoś dachu, przytykającego do głównego gmachu obserwatoryum i ledwie dostrzegalne zarysy gór. Całą reszta—ogromna przestrzeń nieba nocą. Konstelacye. Wewnątrz kopuły bardzo ciemno; na lewo widać niewyraźne kształty ogromnego refraktora; dwa stoły, na nich lampy z ciemnymi, nieprzezroczystymi kinkietami. Sklepienie kopuły roztwarte, widać przez nie gwiaździste niebo. Środkowa część schodów prowadzących na dół. Cisza. Ciche stukanie metronoma. Sergiusz Mikołajewicz, Pietia i Połłak.

Połłak.
Będzie pan łaskaw, szanowny Sergiuszu Mikołajewiczu, uważać na kamerę. Ja wychodzę, muszę skończyć tablice.

Ternowski.
Pracuj pan, pracuj. Do widzenia.

Połłak (zwracając się Pieti)
No, jakże się dziś czujemy, młody kapłanie bogini Uranii?

Pietia.
Dobrze, dziękuję panu.

Połłak.
I nie będziemy się już wyśmiewali z biednego Połłaka, który tak bardzo rad by się ożenić?

Pietia.
Słowo daję, nie chciałem...

Połłak.
Wiem, wiem.

Ternowski.
On już wtedy był niezdrów.

Połłak.
Ja żartuję, szanowny Sergiuszu Mikołajewiczu. Wogóle muszę ze zdziwieniem zauważyć, że odkryłem w sobie ogromny zapas humoru. Kiedy dziś Franciszek rozlał mleko, powiedziałem mu: „Franciszku, zostawiasz za sobą drogę mleczną“, i on bardzo się śmiał z tego. (Śmieje się). No, ale nie będę wchodził w szczegóły... Do widzenia.
(Wychodzi).

Pietia.
Jakiż on śmieszny ten Połłak! Papo, ja ci nie przeszkadzam, zostając tutaj?

Ternowski.
Nie, dziecko.

Pietia.
Nie mam ochoty zejść na dół. Tak tam teraz nudno. Wiesz, Żytow przysłał wczoraj z Kairu depeszę: „Siedzę i patrzę na piramidy“. A ty widziałeś kiedy piramidy?

Ternowski.
Widziałem. Boję się, mój mały przyjacielu, że mamie samej będzie ciężko.

Pietia.
Teraz już śpi. W ciągu dnia dużo z nią siedzę. Ona, tatusiu, wciąż mówi o Koli.

Ternowski.
Przecież nic niewiadomo. Od Anny nie było wiadomości?

Pietia.
Nie, ona listów pisać nie lubi. Rozumie się, nic jeszcze niewiadomo, ciągle to mamie powtarzam, ale ty wiesz, jak to trudno z kobietami rozmawiać... No, nie będę ci już przeszkadzał. Czy ty też będziesz robił wyliczenia?

Ternowski.
Tak. Trochę. Jestem cokolwiek zmęczony.

Pietia.
A ja poczytam... Ach, tatusiu, przeczytałem wczoraj w dzienniku, żeś dokonał jakiegoś olbrzymiego odkrycia co do mgławic i że to cię stawia w rzędzie...

Ternowski.
Odkrycia tego, moje dziecko, dokonałem przed dziesięciu laty. Sława astronomów przychodzi późno—nie interesują się nami.

Pietia.
I ja nie wiedziałem.

Ternowski.
Pozostajemy tak jak dawniej samotni, jak kapłani egipscy, chociaż wbrew naszej woli.

Pietia.
Jak to głupio! Tatusiu, — a dlaczego gdy byłem chory, kazałeś mnie tu położyć? Przecież ja ci napewno przeszkadzałem.

Ternowski.
Nie. Widzisz, jak tylko coś staje mi się bardziej miłem, muszę je tutaj sprowadzić. Ja, Pietiu, dziwne mam przekonanie, że tutaj nie może być ani cierpień, ani choroby. Tu — są gwiazdy.

Pietia.
Kiedyś w nocy obudziłem się i zobaczyłem cię: patrzałeś na gwiazdy. Cicho było zupełnie i patrzałeś na gwiazdy. I wtedy ja coś zrozumiałem... Nie, poczułem. Nie wiem sam—co, nie umiem tego wytłomaczyć. Jak gdybyśmy byli sami jedni na świecie: ty, gwiazdy i ja... lub też, jak gdybyśmy już byli umarli. I to nie wydawało mi się strasznem, było jakoś spokojnie, dobrze, cicho. Ja tak teraz chcę żyć—dlaczego? Przecież ja, tak, jak dawniej, nie rozumiem poco jest życie, poco starość i śmierć?—ale wszystko mi jedno. No, ale pracuj, pracuj, nie będę wchodził w szczegóły, jak mówi Połłak.

Ternowski (w zamyśleniu).
Tak. Człowiek myśli tylko o swojem życiu i o swojej śmierci — i dlatego to tak mu jest ciężko żyć i tak nudno, jak pchle, zabłąkanej w grobie... Chcąc zapełnić ową straszną pustkę, wymyśla najrozmaitsze rzeczy piękne i silne, ale i wtedy — mówi tylko o swojej

śmierci, tylko o swojem życiu i strach jego wzrasta. I staje się podobnym do człowieka, utrzymującego muzeum figur woskowych — tak, utrzymującego muzeum figur woskowych. Przez cały dzień rozmawia z gośćmi i bierze od nich pieniądze, a w nocy — sam jeden, łazi wśród rzeczy martwych i bezdusznych. Gdyby on wiedział, że wszędzie jest życie.

Pietia.

Czy wiesz, tatusiu, czego ja się pierwszy raz przestraszyłem? Zobaczyłem w pustym pokoju krzesło, takie najzwyczajniejsze krzesło — i nagle, tak mi się zrobiło strasznie, że krzyknąłem.

Ternowski.

Myśl jego jest jako ptak — potężny i wolny władca przestrzeni, a on związał mu skrzydła i zamknął go w klatce — z drucianemi, bezwstydnie kłamiącemi ścianami. I niebo poprzez siatkę tylko go drażni i on kłóci się z innymi ptakami, tępieje, staje się głupim, — zamiast, żeby latał swobodnie.

Pietia.

Biedny władca.

Ternowski.

Tak, wszystko żyje. I kiedy człowiek to zrozumie, radością będzie mu życie, będzie takiem, jakiem było dla greków, dla pogan. Pojawią się znów dryady i nimfy; elfy tańczyć będą przy świetle księżyca. Człowiek będzie chodził po lesie i rozmawiał z drzewami i kwiatami. On nigdy nie będzie sam, bo wszystko żyje: i kruszec, i kamień, i drzewo.

Pietia (śmieje się).
Jakiś ty zabawny, tatusiu.

Ternowski.
Tak, doprawdy?

Pietia.
Grzeczny jesteś dla krzeseł. Nie, to prawda, ty grzeczny jesteś i dla mebli. Biorąc cokolwiek do ręki, robisz to tak grzecznie. Nie umiem tego wytłomaczyć. Jesteś bardzo roztargniony, a chodzisz tak zręcznie, że nigdy nic nie zaczepisz, nie trącisz, nie upuścisz. Kiedy krzesła, szafy, szklanki, zbierają się w nocy, tak, jak u Andersena, i zaczynają rozmawiać, to chyba bardzo cię chwalą.

Ternowski.
Tak, bardzo mi się to podoba, że krzesła rozmawiają.

Pietia.
A co się tu dzieje wtedy, gdy ty wychodzisz? Wszystko śpiewa zapewne?

Ternowski.
I przy mnie śpiewa.

Pietia.
Luneta basowym głosem. Tak?

Ternowski.
A ty chłopczyno słyszysz, jak gwiazdy śpiewają?

Pietia.
Nie.

Ternowski.
Śpiewają; pieśń ich jest tajemniczą, jak wieczność. Kto choć raz jeden usłyszy ich głos, idący z głębi nieskończonych przestrzeni, ten staje się synem wieczności! Syn wieczności!—tak, Pietiu, kiedyś tak będzie nazywał się człowiek.

Pietia (śmiejąc się).
Tatusiu, nie gniewaj się: czy i Połłak—jest synem wieczności?

Ternowski.
Być może.

Pietia
Ależ on taki głupi, taki ciasny... No, no, już nie będę. Siadam. Jakie tu u ciebie powietrze,—w pokojach nigdy takiego niema. Czy ty ciągle myślisz?

Ternowski.
Tak.

Pietia.
No, myśl. Koniec, czytam.

(Chwila milczenia).

Pietia.
Dziś trzy tygodnie, jak Łunc wyjechał.

Ternowski.
Tak.

(Milczenie. Pietia czyta. Sergiusz Mikołajewicz przysuwa wolno ku sobie instrumenty. Pracuje).

Pietia.
Przez pierwsze noce, kiedy miałem gorączkę, bałem się bardzo refraktora. Posuwał się po kole za gwiazdą

i gdy znów otwierałem oczy, on już zdążył daleko się posunąć. I zdawało mi się,—nie wiem—jak gdyby to było jedno olbrzymie czarne oko... w surducie z połami.

(Milczenie. Sergiusz Mikołajewicz odkłada na bok instrumenty i myśli, wspierając głowę na ręku).

Ternowski.

Pietiu, czy wiesz, jakie wiersze napisał astronom Tycho Brahe na cześć jednego instrumentu? Był to instrument dla określenia paralaksy, którego używał Kopernik we wszystkich swoich pracach, a który zrobił sam z trzech drewnianych żerdzi, bardzo zły instrument: arabowie mieli lepsze. A więc posłuchaj:

Ten, kto do słońca rzekł: „Z niebios zstąp i stój",
Kto ziemię w niebo pchnął, a księżyc z ziemią skował
I, cały burząc w proch prastary świata strój,
Nie rozsuł stropu gwiazd, ani go nie zepsował.
Lecz prościej i na dziw w tak harmonijny ład
Zespolił znany wam z ułudy zmysłów świat,—
Ten mąż—Kopernik sam—którego głoszę chwałę,
Te oto liche drwa na prosty przyrząd zbił
I, osiągnąwszy nim zamysły swe zuchwałe,
Narzucił prawa rząd na wir niebieskich brył.
Dalekie drogi słońc we chwale ich jaśnienia
Nikczemnym poddał drwom—ich czas i górny bieg,
Do bogów przedarł się, dokąd od dnia stworzenia
Śmiertelnym zawsze los surowy wstępu strzegł.
Jakich-że zawad myśl pokonać już nie zdoła!
Na Pelionu garb ciśnięty ongi zwał
Z Olimpu, z Etny cielsk, z Ossy i wszystkich zgoła
Ogromnych Grecyi gór świadectwo temu dał,
Że w prawdzie mocą rąk i siłą bark swych mężny
Był ów Tytanów ród, lecz słaby tlił w nim duch
I nie dosięgnął gwiazd. On jeden, on potężny
Wysiłkiem woli swej ogarnął świata ruch.
Nie krzepkich mięśni stal, lecz z wątłych szczap narzędzie
Na pomoc sobie wziął—i w bogów stanął rzędzie.

Jakże olbrzymich jest ten czyn wytworem dum!
Choć w gruncie w drzewie tym tak mało jest wartości,
To jednak w pysze swej, jeśli posiada um,
I złoto nawet mu udziału pozazdrości!

(*Przekład Stanisława Pieńkowskiego*).

(Milczenie. Na dole muzyka—kilka niepewnych i smutnych akordów: „Siedzę za kratą—w wilgotnej ciemnicy“)

Pietia. (zrywa się)
Co to? muzyka? Kto to taki?—tam jest tylko mama.

Ternowski.
Tak. Czy to nie Marusia?

Pietia (krzyczy)
Maruśka przyjechała! Ja zaraz, zaraz!... (Biegnie na dół).

Ternowski (powtarza)
To jednak w pysze swej, jeśli posiada um,
I złoto nawet mu udziału pozazdrości!...

(Długa chwila milczenia. Na schodach ukazują się Marusia i Pietia).

Marusia.
Nie płacz. Czego płaczesz? Idź do mamy.

(Pietia płacze, wstrzymując łkanie).

Marusia.
Idź, idź, ona jest sama. Pocieszaj ją—przecieżeś mężczyzna.

Pietia.
A ty?

Marusia.
Co tam ja? Idź. (Całuje go w głowę, rozchodzą się).

Ternowski.
Droga Marusiu! Jakże się cieszę, żeś przyjechała. Wy nie wierzycie, że ja cośkolwiek czuć mogę, a dziś przez cały dzień czułem, że ty przyjedziesz.

Marusia.
Dzień dobry panu. Czy pan pracuje?

Ternowski.
A cóż Mikołaj? Czy uciekł?

Marusia.
Tak. Opuścił więzienie.

Ternowski.
Jest tutaj?

Marusia.
Nie.

Ternowski.
Ale jest bezpieczny, Marusiu?

Marusia.
Tak.

Ternowski.
Biedna Marusiu! Jakaś ty pewno zmęczona. Dziś przez cały dzień myślę o nim i o tobie, — o nim i o tobie. O tobie mówić nie śmiem, ty jesteś jak muzyka, Marusiu! Jak ja się cieszę! Pozwól mi pocałować twoją rękę—twoją delikatną rączkę, która już tyle pracowała nad zniszczeniem zamków żelaznych i krat. (Całuje ją ceremonialnie w rękę). Usiądź, opowiedz.

Marusia (pokazując na galerye)
Chodźmy tam.

Ternowski.
Tak się cieszę. Wezmę dla ciebie krzesło, zmęczona jesteś, Marusiu. (Wychodzą). No usiądź. Dobrze tu jest, nieprawdaż?

Marusia.
Tak, bardzo dobrze.

Ternowski.
Siedziałem tu z Pietią. To taki miły chłopiec. W ostatnich czasach przypomina mi Mikołaja...

Marusia.
Tak.

Ternowski.
Ale Pietia ma dużo kobiecego, słabego, czasem boję się o niego. A Mikołaj — taki jest energiczny, śmiały. Wszystko w nim jest harmonijne i zgodne, łagodne i silne! To wspaniały wzór człowieka odważnego, wyjątkowo piękna forma, którą przyroda rozbija, aby się nie powtarzała.

Marusia.
Tak. Rozbija. Chciałam powiedzieć.

Ternowski.
On jest czarującym, jak młody bóg, ma w sobie jakieś czary, przeciwko którym oprzeć się nie można. Przecież jego, Marusiu, tak wszyscy lubią, nawet Anna, — nawet Anna. I taki piękny! Może ci się, Marusiu, wyda to niedorzecznem: ale on mi przypomina niebo gwiaździste przed zorzą.

Marusia.
Tak. Niebo gwiaździste przed zorzą.

Ternowski.
On nie mógł nie uciec, byłem tego pewien. Więzienie! Co to jest więzienie — te zardzewiałe zamki i spróchniałe, głupie kraty. Dziwię się, że one mogły tak długo go więzić: powinny były uśmiechnąć się do niego i dać mu wolność, jako młodemu, szczęśliwemu księciu!

Marusia (padając na kolana, z żalem)
Ojcze, ojcze, jakież to straszne!

Ternowski.
Co ci jest, Marusiu?

Marusia.
Rozbita wspaniała forma! Ojcze, rozbita, rozbita wspaniała forma!

Ternowski.
On umarł? Mów że!

Marusia.
On... stracił rozum.
(Milczenie).

Marusia (zrywając się)
Co to jest? Przeklęte życie! Gdzież jest Bóg tego życia, gdzież on patrzy? Przeklęte życie! Wypłakać oczy, umrzeć, uciec! Poco żyć, kiedy najlepsi giną, kiedy — rozbita wspaniała forma! Czy ty to, ojcze, rozumiesz? Dla życia niema usprawiedliwienia, niema usprawiedliwienia!

Ternowski.
Opowiedz mi wszystko.

Marusia.
Po co? Czyż „to“ się daje opowiedzieć? Aby opowiedzieć, trzeba zrozumieć, — a czy to kto może zrozumieć?

Ternowski.
Opowiedz.

Marusia.
On był moim sztandarem. Kiedy ci barbarzyńcy wrzucili go do więzienia, myślałam: przecież to barbarzyńcy, a on — słońce. Myślałam: zaraz powstaną ci, którzy go kochają, zburzą więzienie, — i znów zajaśnieje moje słońce. Moje słońce!

Ternowski.
Jakże się to stało?

Marusia.
A jak gaśnie gwiazda? Jak ptak umiera w niewoli? Przestał śpiewać, pobladł, zesmutniał--ale uspakajał mnie ciągle. Raz tylko powiedział: nie mogę zrozumieć żelaznej kraty. Co to jest żelazna krata? — ona między mną i niebem.

Ternowski.
Między mną i niebem?

Marusia.
A w tem zbili ich. Tak, tak. Zbuntowali się w więzieniu. Dozorcy więzienni wdarli się do ich cel i bili ich — po jednemu. Bili rękami, nogami ich kopali, oszpecali im twarze. Długo, strasznie ich bili — tępe

zimne zwierzęta. Nie oszczędzili i twojego syna: kiedy go zobaczyłam, straszną była jego twarz. Miła, śliczna twarz, uśmiechająca się do całego świata! Rozerwali mu usta, te usta, których nigdy nie skalało kłamstwo, o mało nie wyłupili mu oka, tego oka, które widziało tylko to, co piękne. Czy ty to, ojcze, rozumiesz? Czy możesz to usprawiedliwić?

Ternowski.

Mów.

Marusia.

I wtedy zbudziła się w nim ta straszna, śmiertelna tęsknota. Nikomu wymówki nie robił, bronił przedemną dozorców więziennych, swoich zabójców, — ale w oczach jego wzrastał ten czarny smutek: jego dusza zamierała. I wciąż jeszcze uspakajał mnie, wciąż mnie pocieszał. I raz tylko powiedział: noszę w mem sercu wszystek ból świata.

Ternowski.

Dalej.

Marusia.

Zaczął tracić przytomność. Potem przestał mówić. Milcząc, wychodził do mnie,—milczał, kiedy mówiłam i w milczeniu odchodził. Oczy jego robiły się olbrzymie, czarne, jak gdyby patrzał przez nie smutek całego świata—i takiej piękności nie widziałam ojcze! A gdy dziś przyszłam na widzenie, on był już w szpitalu. Kiedy go wczoraj prowadzili na spacer, chciał się rzucić ze schodów w przepaść, ale go zatrzymali. Potem, — szał, kaftan bezpieczeństwa i wszystko.

Ternowski.
Widziałaś go?

Marusia.
Widziałam. Ale o tem mówić nie będę. Nie mogę, rozbita wspaniała forma!

Ternowski.
Oni zawsze zabijali swoich proroków.

Marusia.
Ojcze! Jakże można żyć wśród tych, którzy zabijają swoich proroków? Dokąd mam uciec? Ja już nie mogę. Nie mogę patrzeć na twarz ludzką — ja się boję! Twarz ludzka — to takie straszne: twarz ludzka. Wypłakałam już wszystkie łzy — w przyszłości tylko smutek — śmiertelny smutek. Widzisz, jestem spokojna. Jakże dużo gwiazd!

(Chwila milczenia).

Ternowski.
A Inna wie?

Marusia.
Tak.

Ternowski.
Co mówią lekarze?

Marusia.
Mówią — idyota.

Ternowski.
Mikołaj — idyota?

Marusia.

Tak. Będzie długo żył. Zobojętnieje dla wszystkiego, będzie dużo pił, jadł, nabierze tuszy i żyć będzie długo. Będzie zupełnie szczęśliwy.

Ternowski.

Mikołaj — idyota! Trudno to sobie wyobrazić. Ten piękny człowiek, ten harmonijny, świetlany duch—pogrążony w ciemnościach, w nudnym, biednym, ledwo tworzącym się chaosie. Czy on teraz nieładny, Marusiu?

Marusia (z goryczą).

Tak, nieładny. Czy cię to niepokoi?

Ternowski.

Cieszę się, żeś taka spokojna; nie myślałem, żeś taka silna!

Marusia.

Od miesiąca dzień w dzien przeżywam tę mękę. Przyzwyczaiłam się. Ojcze, co to jest przyzwyczajenie? To chyba też rodzaj obłąkania?

Ternowski.

Co ty teraz ze sobą zrobisz?

Marusia.

Nie wiem. Nie myślałam jeszcze o tem. To jakoś wstyd, ojcze, myśleć nad świeżą mogiłą o swojem — o nowem życiu. Przecież i pies potrzebuje czasu, aby przywyknąć do straty swego szczenięcia

Ternowski.

Mikołajem ja się zajmę, jemu teraz niewiele po-

trzeba. A ty, Marusiu, nie odwiedzaj go już więcej. Zupełnie nie odwiedzaj.

Marusia.
Owszem, będę go odwiedzała.

Ternowski.
To cynizm. To taki sam cynizm, jak zatrzymywanie trupa w swoim pokoju. Trupy powinno się palić na stosie.

Marusia.
Ja i trupa zostawiłabym w swoim pokoju.

Ternowski.
Po co?

Marusia.
Znasz piękną Helenę? Biorę ją ze sobą.

Ternowski.
A to komu na złość?

Marusia.
Nie wiem. Tobie.

Ternowski.
Mnie?

Marusia.
Tak. Znalazłam, wiem już co robić będę. Założę miasto i osadzę w niem wszystkich starych, jak piękna Helena, wszystkich ubogich, kaleki, obłąkanych, ociemniałych. Będą tam głuchoniemi od urodzenia i idyoci, będą tam pokryci ranami, dotknięci paraliżem. Będą tam zabójcy...

Ternowski.
Żal mi cię, Marusiu.

Marusia.
Będą tam zdrajcy i kłamcy i istoty podobne do ludzi, ale straszniejsze od zwierząt. I domy będą takie jak ich mieszkańcy: krzywe, garbate, ślepe, zjedzone przez zarazę; domy — zabójcy, zdrajcy. Walić się będą na głowy tych, którzy w nich zamieszkają, będą kłamały i łagodnie dusiły. I będą u nas bezustanne zabójstwa, głód i płacz, a królem miasta zamianuję Judasza i nazwę miasto: „Ku gwiazdom".

Ternowski.
Biedna Marusiu, żal mi ciebie bardzo.

Marusia.
Daj spokój! Ty nie żałujesz syna.

Ternowski.
Ja nie mam dzieci. Dla mnie wszyscy ludzie są równi.

Marusia.
Jakież to bezduszne! Nie, nie zrozumiem cię nigdy.

Ternowski.
To dlatego, że ja myślę—o wszystkiem. Myślę o przeszłości, o przyszłości i o ziemi i o tych gwiazdach — o wszystkiem. I w mgle przeszłości widzę miryady poległych; i w mgle przyszłości widzę miryady tych, którzy polegną; i widzę kosmos i widzę wszędzie tryumfujące bezgraniczne życie — i nie mogę płakać nad jednym.

(Na schodach ukazuje się Pietia z Inną Aleksandrówną, która ledwo idzie, podtrzymywana przez Pietię. Przechodzą wolno przez kopułę).

Inna Aleksandrówna (rzucając się w stronę męża).
Kola nasz, Kola!

Pietia.
Matusiu! Matusiu! Nie płacz.

Inna Aleksandrówna.
Kola!

Ternowski (sadza ją, prostuje się, krzyczy).
Zabrali mi syna! Szaleńcy! Ślepcy, podnoszący rękę sami na siebie!

Inna Aleksandrówna.
Nie... ojcze, przeżyjemy. Kola mój, Kola...

Ternowski.
Gdyby słońce wisiało niżej, zgasili by słońce, — żeby zdychać w ciemnościach. Zabrali syna! Światło zabrali (Tupie nogą).

(Pietia i Marusia klękają przy Innie Aleksandrównie i pieszczą ją. Sergiusz Mikołajewicz odchodzi parę kroków i wraca).

Marusia.
Przebacz mi, ojcze.

Ternowski.
Nie trzeba płakać, nie trzeba. Została nam się myśl. Została nam się myśl. Ależ pomóż mi!... Tak. Widocznie, stary już jestem.

Inna Aleksandrówna.
Kola!

Ternowski.
To nic. Życie, życie jest wszędzie. Zaraz, w tej samej chwili — tak w tej samej chwili! — ktoś się rodzi, taki sam, jak Mikołaj, lepszy od niego; natura nie znosi powtórzeń.

Marusia.
Rodzi się dla szaleństwa, dla zguby! Rodzi się po to, aby też i nad nim płakała matka. Czy to chcesz powiedzieć?

Ternowski.
Matka? Tak. Tak. On zginie, Marusiu. Życie, tak jak ogrodnik, ścina najlepsze kwiaty — ale one całą ziemię napełniają swym zapachem... Spójrz tam, w tę nieskończoną przestrzeń, w ten niewyczerpany ocean sił twórczych. Spójrz tam. Cicho tam jest zupełnie — ale gdybyś mogła słyszeć przez przestrzeń i widzieć przez wieczność, wtedy—umarłabyś może z przestrachu, a może — z zachwytu. Z zimnem szaleństwem, posłuszne żelaznej sile ciężkości, biegną w przestrzeni po swych drogach nieskończone światy — a nad niemi wszystkiemi panuje jeden wielki, nieśmiertelny duch.

Marusia (wstając)
Nie mów mi o Bogu.

Ternowski.
Mówię o istocie nam podobnej, o tej, która również cierpi, i tak samo myśli, i tak samo szuka, jak i my. Ja jej nie znam — ale kocham ją, jak przyjaciela, jak towarzysza. W chwili, kiedy przy przypadkowem spotkaniu dwóch niewiadomych sił, zbudziło się pierwsze życie — maleńkie, drobniutkie życie ameby, protoplazmy — już w tej chwili wszystkie te iskrzące się

gromady znalazły swego pana. To my, — którzy tu jesteśmy i ci, którzy są tam. Wielki przestworze niebios! Stara tajemnico! Tyś nad moją głową, ty mieszkasz w mej duszy — i jużeś u moich nóg, u nóg twojego pana.

Marusia.
Milczy, ojcze! Śmieje się z ciebie.

Ternowski.
Ale ja chcę — i mówić będzie. Rzucam spojrzenie tam, w tę błękitną głąb, -- wzrok mój prześlizga się w przestworach i dościga tego, czego nigdy, nigdy jeszcze nie widział człowiek. Wołam i stamtąd z mroku podziemi wypełznie na moje wołanie drżąca tajemnica. Kurczy się ze złości i ze strachu, grozi rozdwojonym językiem i mruga oczami, pozbawionemi wzroku — bezsilny, nędzny potwór. I wtedy cieszę się, i wtedy mówię poprzez wieki i przestrzenie: „Pozdrowienie ci, synu wieczności! Pozdrowienie ci, mój niewiadomy i daleki przyjacielu!“

Marusia.
A śmierć, szał, dziki tryumf niewolników? Ojcze, ja się nie mogę oderwać od ziemi, ja nie chcę od niej odejść: ona taka nieszczęśliwa. Oddycha przestrachem i smutkiem — ale jam z niej zrodzona i we własnej krwi noszę cierpienia ziemi. Obce mi są gwiazdy, nie znam tych, którzy tam mieszkają. Dusza moja, jak ptak postrzelony, ciągle opada na ziemię.

Ternowski.
Śmierci niema.

Marusia.
A Mikołaj? A syn twój?

Ternowski.
On jest w tobie, w Pieti, we mnie—jest we wszystkich tych, którzy strzegą ze czcią święty zapach jego duszy. Czyż umarł Giordano Bruno?

Marusia.
On był wielkim.

Ternowski.
Umierają tylko zwierzęta, które nie mają oblicza. Umierają tylko ci, którzy zabijają, a zabici, rozszarpani, spaleni—żyją wiecznie. Niema śmierci dla człowieka, niema śmierci dla syna wieczności.

Inna Aleksandrówna.
W starożytnych świątyniach podtrzymywano wieczny ogień. Spopielało się drzewo, wypalała się oliwa, ale ogień był podtrzymywany. Czyż ty go nie czujesz—tutaj, wszędzie? Czyż nie wchłaniasz w siebie czystych jego płomieni? Kto ci dał tę delikatną duszę, czyja myśl, opuściwszy znikome ciało, żyje w tobie—czy możesz powiedzieć, że to twoja myśl żyje? Twoja dusza—to tylko ołtarz, na którym sprawia ofiarę syn wieczności. (Wyciąga rękę ku gwiazdom). Pozdrowienie ci, mój niewiadomy, daleki przyjacielu!

Marusia.
Pójdę na ziemię.

Ternowski.
Idź. Oddaj jej to, coś od niej wzięła. Oddaj słońcu jego ciepło. Zginiesz, tak jak zginął Mikołaj, jak gi-

ną ci, którym sądzono duszą swoją, niezmiernie szczęśliwą podtrzymywać wieczny ogień. Ale ginąc, zdobędziesz nieśmiertelność. Ku gwiazdom!

Pietia.
Ojcze, ty płaczesz? Pozwól mi ucałować twą rękę, pozwól.

Inna Aleksandrówna.
Już... nie płacz, ojcze. Jakoś... przeżyjemy...

Marusia.
Ja pójdę. Jak świątyni strzedz będę tego, co zostało po Mikołaju—jego myśli, wrażliwej miłości i łagodności. Niechaj znów zabijają go we mnie—uniosę wysoko ponad ziemię jego czystą, niewinną duszę.

Ternowski (wyciągając ręce ku gwiazdom).
Pozdrowienie ci, mój daleki, niewiadomy przyjacielu!

Marusia (wyciągając ręce ku ziemi).
Pozdrowienie ci, mój drogi, cierpiący bracie!

Inna Aleksandrówna.
Kola, mój Kola!...